



Karol Koischwitz

ŁÓDŹ

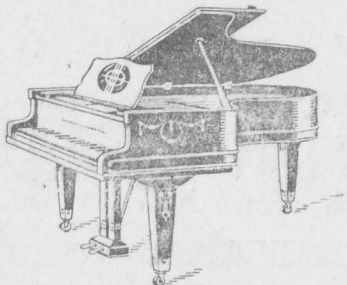
ul. Moniuszki 2. — Telefon 24-72

Wylączna sprzedaż:

Fortepianów, Pianin i Fisharmonji

światowych firm:

Bechstein,
Blüthner,
Feurich,
Grotrian-Stein-
[weg,
Ibach i t. d.



Własny warsztat reperacyjny, strojenie i przewóz instrumentów. Skład gramofonów, etażerek i taboretów.

Wynajmuje instrumenty na wieczory i koncerty.

Rok założenia 1892.

„COLONIALE” S. A. D.

Juljusz Meini

Import kawy i herbaty

ZARZĄD GŁÓWNY

we Lwowie ul. Kościuszki 8

F I L J E:

Lwów, Akademicka 2a	Jarosław, pl. Mickiewi-
„ Gródecka 54	[cza 1
„ Rynek 18	Tarnów, Krakowska 15
„ Sykstuska 33	Kraków, Rynek 30
„ Łyczakowska 17	Bielsko, Jagiellońska 10
Brzuchowice pod Lwo-	Cieszyn, Głęboka 13
[wem	Huta Królewska, Wolno-
Przemyśl Franciszkań-	[ści 20.
[ska 1a	

Kalia

PERFUM
MYDŁO
PUDER
LOTION

J. & S. STEMPNIEWICZ
PERFUMY I KOSMETYKA · POZNAŃ

ODDZIAŁY:

WARSAWA KRAKÓW RADOM
KS. SKORUPKI 8. RYNEK GŁÓWNY 46. PIASKI 12.

MASZYNY DO SZYCIA

znanej dobroci „KASPRZYCKIEGO”
Tanio — Hurtowo — Detalicznie — Raty

Skład Fabryczny

„THE KASPRZYCKI COMPANY”

Warszawa, Marszałkowska Nr. 153. Telefon Nr. 104-51.

Filja w Częstochowie — Leja 43. — Zamówienia można listownie: w Warszawie.



Ważne dla Pp. Kupców prowincjonalnych!!!

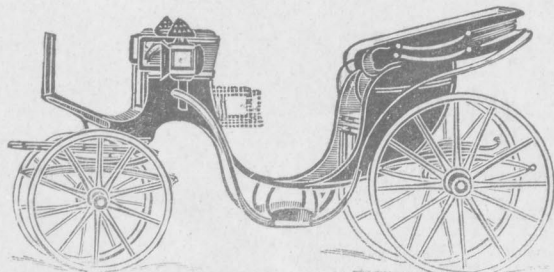
Ołówki: Krajowe i zagraniczne; Papiery kancelaryjne; Pa-
peterja w teczках i w pudełkach; Pocztówki; Karty do gry;
Zeszyty szkolne, sprzedaje ściśle po cenach hurtowych

Polskie T-wo Księgarni Kolejowych „RUCH” Sp. Akc.

Centrala: WARSZAWA, Poznańska 38, telef. 68-61 i 68-62

Oddziały: Poznań, Kraków, Lwów, Gdansk, Katowice, Wilno.

ZAKŁAD POWOZOWY



W. WIERZBICKI w Warszawie
ul. Leszno 45

przyjmuje obstalunki i odnowienia oraz
zamienia takowe.

FABRYCZNY SKŁAD POŃCZOCH I TRYKOTAŻY

Z. MENTZEL

Marszałkowska 101.

Ś-to Krzyska 5.

Tel. 226-54.

Tel. 53-49.

Poleca wyroby własne i zagraniczne
czysto wełniane, bawełniane i fildéco-
sse w najlepszych gatunkach, po cenach
konkurencyjnych.

BIESIADA LITERACKA

(d. BIESIADA)

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 50. TEL. 291-60

Warszawa

15 lutego 1925

Rok II № 4 (13)



HUCUŁ

STANISŁAW DEBICKI

DWUDZIESTA ROCZNICA KRUCJATY DZIECIĘCEJ

Postawmy polską myśl nad
poduszkami...

Juliusz Słowacki.

Lat dwadzieścia mija od chwili, kiedy młodzież polska, prwana entuzjazmem poczucia narodowego, gremjalnie opuściła *rządowe*, czyli — jakby dziś powiedziano — państwowe szkoły rosyjskie, wyrażając w ten sposób swój protest przeciwko rusyfikacji. Kto pamięta tę chwilę niezapomnianą 1905 roku, wie, że był to obraz imponujący i jedyny w swoim rodzaju. Słusznie pisał o tej chwili Antoni Sygietyński w paryskiej „La Revue“, że czterdzieści tysięcy dzieci polskich porwał powszechny prąd mistyczny, płynący z głębi duszy narodowej, która owego roku pamiętnego zamaifestowała swą odrębność kulturalną i zaprotestowała przeciwko metodom rządu Najjaśniejszego Pana cesarza Samowładnego.

Zgnieciono powstanie polskie roku 1863, ale nie zdołano zdusić myśli polskiej. A ta myśl płonęła zarzewiem Warszawskiej Szkoły Głównej. Z niej to wyszli Henryk Sienkiewicz, Adolf Dygasiński, Bolesław Prus, Aleksander Świętochowski, Piotr Chmielowski, Bronisław Chlebowski, A. A. Kryński, E. Bogusławski, W. Mieczynski, J. Baudoin de Courtenay — i tylu, tylu innych, którzy przyczyniali się znakomitością swych prac czy zacnością swego żywota do sławy imienia polskiego.

Artyści, literaci, uczeni, pedagodzy, lekarze, prawnicy, — wszyscy oni, przyczyniając się do rozwoju nauki i sztuki, krzewili „jedynie szczytną puszczną Szkoły Głównej, instytucji czysto polskiej, wyrosłej jakgdyby z pod ziemi czasu powstania...“

Niebezpieczną stała się dla rządu rosyjskiego ta kuźnica myśli polskiej, która w krótkim przeciągu czasu, dała tak piękny i bogaty dorobek duchowy.

Przeto Szkołę Główną rząd moskiewski zamknął, a na jej miejsce utworzono rosyjski warszawski uniwersytet cesarski, mający cele rusyfikacyjne.

Wszakże rząd carski postanowił język rosyjski narzucić nie tylko szkolnictwu wyższemu! Wprowadzając język rosyjski jako wykładowy do szkół średnich męskich i żeńskich, ówczesny kurator Witte publicznie powiedział w Warszawie:

„Dumny jestem, iż pierwszy wraziłem nóż w serce Polski“.

Zaiste cios był wymierzony dobrze.

Za pomocą języka rosyjskiego, wynaradawiano dzieci i młodzież w szkołach, co więcej, za pomocą

obcego języka zatruwano dusze tej młodzieży miazmatami preparowanymi w rosyjskiej kuźni politycznej.

Żyją jeszcze ci, których gramatyki polskiej uczono w języku rosyjskim, ci, którym w rządowej szkole rosyjskiej zohydzano najpiękniejsze karty historii polskiej.

Bohaterskie postacie z dziejów naszych walk o wolność w wykładach pedagogów rusyfikatorskich stawały się zdrajcami i zbrodniarzami godnymi kary najsroźszej.

Wpływ rządu rosyjskiego sięgał daleko, bardzo daleko. Wskutek żądań i zabiegów ambasadora rosyjskiego w Paryżu, w podręcznikach francuskich dla szkół francuskich zmieniano lub usuwano ustępy dotyczące Polski.

System rusyfikacyjny zaczął wydawać owoce. Kurator Apuchtin mawiał publicznie:

„Jeszcze dziesięć lat, a matki-Polki nad kołyskami niemowląt będą śpiewały pieśni rosyjskie“.

Systematyczne oczernianie Polski w rządowych szkołach rosyjskich z całą konsekwencją stosowano w celu demoralizowania młodzieży polskiej, która stawała się nieświadomym narzędziem rusyfikacji duchowej.

A ta rusyfikacja duchowa młodego pokolenia zataczała coraz szersze kręgi, wślad za nią podążała systematyczna rusyfikacja polityczna.

Znicz ognia narodowego podtrzymywali jeszcze ostatni mohikanie Szkoły Głównej.

Ale młode pokolenie wychowane w szkole rosyjskiej ginęło dla życia duchowego i politycznego Polski.

Generał-gubernator warszawski, ks. Imeretinskij, w memorjale złożonym cesarzowi w styczniu 1898 roku wskazywał, że najpewniejsze zjednoczenie Królestwa z Cesarstwem, to zjednoczenie duchowe. Owo zjednoczenie duchowe pojmował ks. Imeretinskij w ten sposób, że np. „nie wystarcza prześladowanie budzących się usiłowań podniesienia oświaty ludowej, ale należy ją popierać przez rozwój szkolnictwa i bibliotek ludowych, które, znajdując się w rękach rządu, będą służyły jego celom i zapobiegały rozwojowi wśród ludu świadomości narodowej i idei przeciwrządowych“.

Szkoła rosyjska, szkoła rządowa, szkoła — jakby dziś powiedziano — państwowa, stała się katownią dusz młodocianych, instrumentem wyrafinowanym w rękach rusyfikatorów, fabryką „patentów“, które uwalniały młodzież męską od długotrwałej służby wojskowej a także dawały możliwość studjów wyższych.

Mimo to młodzież, o ile mogła, garnęła się do szkół prywatnych, które, acz nie miały praw szkół rządowych, jednak chroniły przed rusyfikacją.

Ale według praw rosyjskich, prywatna szkoła polska musiała być niższą od rządowej, a powtórne istnienie jej wogóle było możliwe tylko tam, gdzie nie było szkoły rządowej.

Atoli rządowi nie wystarczała rusyfikacja szkolnictwa męskiego. Przyszła oto kolej na pensje prywatne, które w ramach sześciu klas mieściły, często z powodzeniem, kurs 7-miu klas gimnazjów rządowych.

Atak rozpoczęto w 1903 roku, gdy niektóre przełożone prywatnych szkół żeńskich — pp. Gągatnicka, Kudasiewiczowa, Golańska, Strzemińska i Lindenbaum zwróciły się do rządu w sprawie utworzenia klas wyższych. Rząd skłonny był uwzględnić życzenia przełożonych pod warunkiem, że przyjmą na dyrektorów pensji — Moskali.

Spółeczeństwo polskie spostrzegło grożące niebezpieczeństwo. Te pensje, które przyjęły inspektorów Rosjan, postanowiono zbojkotować. Jednocześnie rozwinięto szeroką akcję uświadamiającą. Zarazem rząd rosyjski rozpoczął działalność represyjną w stosunku do szkół prywatnych; szykanowanie nauczycieli tych szkół było zjawiskiem zwykłym.

Gdy pod ciosami oręża japońskiego chwiał się począł kolos rosyjski, a szykany władz na polu oświatowym nie ustawały, wzburzenie zaś społeczeństwa polskiego wzrastało w związku z ogólną sytuacją polityczną, skierowano do ministra oświaty memoriał, wykazujący wszystkie bezprawia stosowane względem prywatnego szkolnictwa polskiego. Memoriał ten w imieniu rodziców podpisali dn. 27. października 1904 roku pp. Wł. Spasowicz, Ign. Baranowski, I. Jeziorański, Adam hr. Krasiński, L. Straszewicz i ks. Radziwiłł.

Autorowie memoriału nie otrzymali, zdaje się, od rządu rosyjskiego odpowiedzi.

Ale w trzy miesiące potem „dnia 28 stycznia 1905 roku, nazajutrz po zapoczątkowaniu na całej ziemi Królestwa Polskiego powszechnego bezrobocia fizycznego w fabrykach rządowych i prywatnych, wybuchnęło powszechne bezrobocie intelektualne w szkołach rządowych i prywatnych“.

„Strajk szkolny“. Słynny „strajk szkolny“ 1905 roku, kiedy to młodzież polska postanowiła raczej „zrzec się przyszłości materialnej, niż rozwijać się w przewrotności intelektualnej, w upodleniu moralnym, w zaprzaniu narodowym!“ — był wymowną odpowiedzią na memoriał.

Ruch ten powstał żywiołowo wśród młodzieży

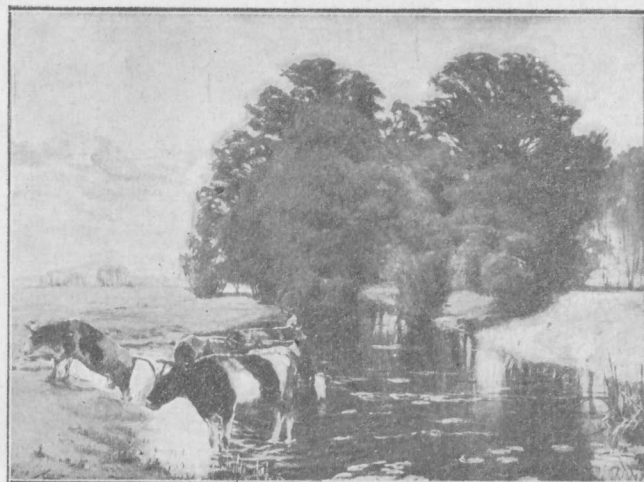
polskiej. Stał się zorganizowanym bojkotem szkoły rosyjskiej. Gdy, na pamiętnym wiecu rodzicielskim dn. 19 lutego 1905 r. w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa kurator Szwarz próbował, błady ze wzruszenia, mówić po polsku i przyznawać nam prawo do posiadania własnych szkół, społeczeństwo zażądało spolszczenia całego szkolnictwa w Królestwie Polskim.

Rozpoczęła się krucjata dziecięca. Olbrzymia większość młodzieży, narażając swój byt materialny i swą przyszłość, nie wróciła do szkoły rządowej. Poświęcenia i ofiary tej młodzieży, bohaterskiej duchem, przyniosły owoce: rozkwit prywatnego szkolnictwa polskiego, które stało się odtrutką na rusyfikacyjne zakusy rządowych gimnazjów rosyjskich. Idealizmowi i bohaterstwu tej młodzieży polskiej zawdzięczamy prywatne szkoły polskie, które pod względem pedagogicznym prześcignęły szkoły rządowe, stając się częstokroć — wzorem na polu nauczania.

Dziś, w dwudziestą rocznicę tej pamiętnej i pięknej chwili, należy przypomnieć, co zawdzięczamy ówczesnej młodzieży, której ofiarność w walce o prawa narodowe nie zawsze jest w Polsce Niepodległej rozumiana... Nie może się bowiem owoczesne pokolenie młodzieży wykazać dziś patentami rządowymi, czyli — państwowymi.

Natomiast zbyt często obecnie są nagradzani w postaci wysługi lat i wszelkich innych emerytur ci właśnie, co, w małości ducha będąc, nie wytrwali w bojkocie szkoły rosyjskiej i wrócili do niej jako uczniowie, bądź nauczyciele, nagradzani orderami za wierność monarsze — rosyjskiemu.

Należałoby o tem więcej obecnie pamiętać.



U źródła

Kazimierz Lasocki

A. MICKIEWICZ

MIESIĄC MIODOWY REKRUTA

Tak przeszedł cały tydzień—mój pierwszy tydzień po zaślubieniu pięknej ośmioletki, tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszczęśliwszy tydzień w mojem życiu! Każdą chwilę miałem zajętą w przekonaniu, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła całkiem w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach, i widać było tu i owdzie występującą wodę. Pułkownik nasz, z tyką w rękę, pierwszy się puścił na lód, brodząc w wodzie po kolana; potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim—i to z naszymi armatami—po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem jak śmierć, cała bowiem moja przyszłość urojona mogła utonąć. Nakoniec przeszliśmy szczęśliwie i na drugim brzegu stanęliśmy z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Tego samego wieczora nastąpiło połączenie się z korpusem, przodem wysłanym z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze wysokie mają wyobrażenie o potęgę artylerji, a bardzo ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Posłyszawszy turkot kół armatnich, cały obóz nie posiadał się z radości.

— Nasza artylerja nadciąga! Niech żyje artylerja! — wołali ze wszystkich stron, wybiegli na nasze spotkanie i postawili nas w środku obozu.

My także z zapałem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywając marsze w osamotnieniu, teraz znaleźliśmy się w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba wydawała się znaczną na oko.



Rodzina

Fr. Ejsmond

To podniosło naszą ufność. Wszystkiego jednak nie było więcej nad dwanaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki iskrzyły się barwami, nie znającemi jeszcze krwi i kurzu. Po wesołej i hucznej wieczerzy pokładaliśmy się spać, kołysani dźwiękami muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady, i okazało się, że to okrzyki zwycięstwa! Nasza bowiem awangarda pojmała kilkudziesięciu kozaków. Pierwszy to tryumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się nimi. Kozacy ci, brodacze rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczonei głowami i kwaśną miną. W miarę jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze przedrwiwali z nich, kleli lub grozili. I mnie brała chętka robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc, surowo ich gromiąc, rzekłem:

— Polacy! szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! Litość nad zwycięzonymi! Niech żyje Polska!

Żołnierze uspokoili się, jak piorunem rażeni wspaniałością mych uczuć i sentencjonalną wymową.

Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę jeden stary kanonjer, jadący obok mnie, który ciągle się wspinał na strzemionach, zadierał głowę, wyciągał szyję ponad ramiona swych towarzyszy.

— Za czem tak patrzysz, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie; niech ich tam kaci porwą...

I wskazał palcem na wzgórza, będące przed nami. Ujrzałem wtenczas, że się coś czerniło na szczycie wzgórza. Byłyto krzaki, czy kaszkiety piechoty moskiewskiej? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, albowiem nadbiegli adjutanci, wołając z całej siły:

— Artylerja naprzód! stawać do pozycji!

Ruszyliśmy, co koń wyskoczy! Padł strzał armatni, i kula, zabijwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej, odbijając się. Zajęliśmy pagórek wprost nieprzyjaciela, który podwoiłogień.

Szeroka płaszczyna, obwiedziona krzakami i borem, roztaczała się przed nami. W środku niej na wzgórcu zatoczyli Moskale baterję dwunastu dział ciężkiego wagomiaru, które nas osypywały

kulami i granatami. Za baterją widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda podobnie stała spokojnie, zostawiając czas działania artylerji.

Zauważyłem, że żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i wyraz twarzy własny sobie. I tak artylerzysta niema kawaleryjskiej rzutności, ani cierpliwości piechura, lecz baczny na komendę, szybki i dokładny w każdym poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego, dymem gryzione, krwią zaszłe, brwi zmarszczone, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda, wyrażają zażartą wściekłość, tłumioną i zogniskowaną.

Śród tego ognia, mimo że śmierć zmiatała głowy, nie przestano żartować; każdym razem, gdy kula odskakiwała, młodzi żołnierze nieomieszkali rozmawiać z nią i dawać jej rady. Gdy odbijająca się kula mogła być widziana zdaleka, jak skakała po polu, jeżeli więc szła na bok, na lewo, wołano na nią: gdzie lecisz, ślepa! bierz się na prawo; a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: dobrze! dobrze! — i tak rozmawiano z nią, dopóki nie wpadła w sam środek linii nieprzyjacielskiej, i wtedy dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kanonada. Chociaż gorączkowo uwijaliśmy się przy działach, jednak zabawka ta ciągnęła się zadługo, aby nie pragnąć nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widoczną przewagę — tak co do liczby, jak i wymiaru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było ranionych, a wszyscy, lubo nadzwyczaj zmęczeni, nie upadali przecież na duchu, i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony okropnie ryknęły działa. Moskale właśnie tam postavili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać; lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejszem, bo sześcioma połowami armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego wagomiaru — to nieprzelewki. Nasi żołnierze na widok tej nierówności sił wydawali się być pomieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrzały nasze rzadziej się odzywały, a nawet dykteryjki i żarciki jakoś ustały.

Można wnosić, że nasz dowódca czekał na to, aż Moskale rozdziela swe siły, aby skorzystać z tego momentu i uderzyć na nich; tak przypuszczam, lubo nie kuszę się rozprawiać o planie bitwy. Tyle wiem,



KAIN

FERDYNAND CORMON

że w najkrytyczniejszej chwili usłyszeliśmy od lewej strony tentent konnicy pędzącej galopem, i w kilka minut potem owa baterja umilkła, gdyż była zdobytą.

Nosz dowódca zawrócił i poskoczył ku głównej sile naszych szwadronów, wołając:

— Naprzód kłusem! naprzód wiara!

I cała nasza jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję.

— Idą do szarży! — wołali nasi kanonierzy, i zaraz zaprzestaliśmy strzelać.

Jakiż-to widok! Młodzi ułani z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale radzi nie radzi, musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał:

— Kłusem! naprzód! kłusem!...

Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorąco drgały ręce żołnierzy. Nakoniec ozwały się trąby, zniżyły chorągiewki, i już kopnięto się na nieprzyjaciela. Naprzód! galopem! naprzód! wiara!

Popędzili! — myśmy zostali przy naszych armatach, nic nie robiąc, a nawet nic nie myśląc.



Kominiarz

N. Neilson-Gray

Artylerja — niedawno tak ruchliwa i hałaśliwa — wydawała się skamieniałą. Dusze nasze uleciały daleko i usiadły na ostrzach grotów ułańskich. Oto już blisko są Moskale! Już moskiewskie szeregi uwijają się, ażeby ich przyjąć. Kanonjerzy powyłazili na lawety, na jaszczyki i patrzą w przestrzeń podani naprzód, z gębą otwartą; a była taka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia się zawisł nasz los, los naszego wojska, może i ojczyzny! Była to chwila oczekiwania i strasznej niepewności; szczęściem, trwała kilka minut.

Nasi ułani starli się z Moskalami na wyżynie. Obie linje zetknęły się ze sobą i pomieszały. W całej tej masie zawrzało — i cała zniknęła jak tuman kurzawy, pędzonej wiatrem.

Nie wiem, kto taki, lecz ktoś wśród nas krzyknął na całe gardło — okrzyk ten przerwał grobową ciszę, ogłaszał bowiem zwycięstwo, wszakże nikt mu nie wtórował, my bowiem, młodzi żołnierze, jeszcześmy nie rozumieli ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości.

— Poczekajmy! — ten i ów mówił. — Dotąd nżema nic pewnego, nic nie widać, wszyscy gdzieś się podzielili!...

Nareszcie część tej masy, którą widzieliśmy, jak zginęła nam z oczu, zaczęła się ku nam zbliżać. Po kolorach poznaliśmy naszych ułanów i po okrzyku wojennym: Jeszcze Polska nie zginęła!...

Już niema co wątpić: zwycięstwo przy nas!

Zbliżająca się masa przedstawiała osobliwy widok. Widać w niej było mnóstwo pieszych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa... Byli to jeńcy moskiewscy, zabrani z artylerją i całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, tej szalonej radości! Jakto? cała ich artylerja — w naszych rękach!... Rzuciliśmy się obces na te armaty, ścisakając je, pieszcząc się z niemi, a ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmioletniej.

Pięknież-to były te rosyjskie armaty — takie ogromne, nowe, doskonale umontowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzno, panie sierżancie — wołał kanonjer Mateusz — patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przekłete Moskale!

Zacząłem rozkoszną ręką głaskać wypolerowaną powierzchnię spizową, a wszyscy powtarzali chórem:

— Ależ-to się świecą te moskiewskie działa!

— A jaki kaliber! — zauważył jeden kanonjer, — To mi to kaliber! to mi to pukawka!



Piękna narciarka z St. Moritz

Zacząłem mierzyć wylot granatnika, a żołnierze powtarzali:

— To nie żarty taka paszcza!

Potem, kiedyśmy zaczęli oglądać uprząż, znowu chórem wołano:

— Ależ-to tęgi rzemień mają te przekłete Moskale!

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość.—Oto ni mniej, ni więcej, jak zwykły owies, zabrany łupem. Nasza jazda nie miała już furazu, a Moskale mieli go pod dostatkiem; ich furgony, jaszczyki, lawety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napełniając nim worki, ładownice, kieszenie i opowiadając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz i na jego widok zagrzmiął okrzyk zapału i uwielbienia. Śnać bardzo był zmęczony, bo choć dzień chłodny, pot płynął z niego kroplami. Otoczyliśmy go gęstym tłumem. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— Dzieci moje — rzekł do nas—przyrzekłem poprowadzić was na nieprzyjaciela, wy przyrzekliście pobić go, a tak i ja i wy dotrzyaliśmy słowa.

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem. Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach. Słuchaczów nie było, wszyscy bowiem mówili; wszyscy się dzielnie spisali w bitwie, wszyscy mieli dowcip — — bo wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli przyjdzie dla mnie ta błogosławiona godzina, że jeszcze będę mógł walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odszukać moją ukochaną ośmioletką i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej: natenczas nazwę się prawdziwie szczęśliwym; a jednak nawet śród tryumfów nie potrafiłbym czuć tego, czegom doświadczał w pierwszej bitwie, w bitwie pamiętnej pod Stoczkiem.

Paryż. 1835.

S M U T K I.

*Domy w mieście są duże, lecz są i malutkie,
Ale wszędzie mieszkają jednakowe smutki.*

*A może nawet tak jest, że na wyższym piętrze
Smutki są przenikliwsze, rozpaczę gorętsze.*

*Wszystko jedno, czy suknia, czy dancing, czy miłość,
Śmierć, odjazd, czy kanarek, — to taka zawitość.*

*Bardzo dużo jest smutków: prawie każdy człowiek
Nosi je w ust kącikach i w zmużeniu powiek.*

Tadeusz Zajęczkowski.



Piękna narciarka z St. Moritz

KAZIMIERZ LASOCKI

(Z POWODU 30 ROCZNICY PRACY ARTYSTYCZNEJ)



Kazimierz Lasocki w pracowni

Charakterystyczna to postać, jakby wyrzucenego skutkiem jakiejś katastrofy na bruk wielkomiejski ziemianina, z wieczną tęsknotą za umiłowaną ziemią w oczach... Tęsknotą tą Kazimierz Lasocki stara się rzelać na płótno, stwarzając całe szeregi krajobrazów wiejskich, ożywionych postaciami zwierząt.

Kazimierz Lasocki, urodzony w r. 1871 w Gombinie, jako syn rolnika, późno bardzo, gdyż dopiero w r. 1893 rozpoczął studia malarskie w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, pod przewodnictwem znakomitych profesorów, Wojciecha Gersona i Kauzika. Ciężkie to były wiece dla niego czasy zmagania się z biedą, lecz szczęśliwie pokonał je, przełamał wszelkie przeszkody, i już w r. 1895 wystawił pierwsze swe prace w salonach Zachęty...

A potem wyrusza w świat, po nową naukę, po nowe zdobycze w dziedzinie sztuki. Studja w Monachjum u Hertericha i Stucka, potem dłuższy pobyt we Włoszech i środkowej Europie, gdzie studjuje dzieła mistrzów w największych galerjach sztuki, wreszcie piesza podróż z Zakopanego do Bułgarji w r. 1900, z której przywozi masę szkiców.

Po powrocie do kraju, z zapałem oddaje się pracy, a upodobawszy sobie przedewszystkiem rodzaj holenderskiego malarza zwierząt, znakomitego Pottera, maluje bydło rogate, maluje mistrzowsko...

Krajobraz swojski, przesycony słońcem, pełen realizmu, i bydło — to ulubione tematy Lasockiego, które mu zjednały w szerokich kołach przydomek „malarza krów“...

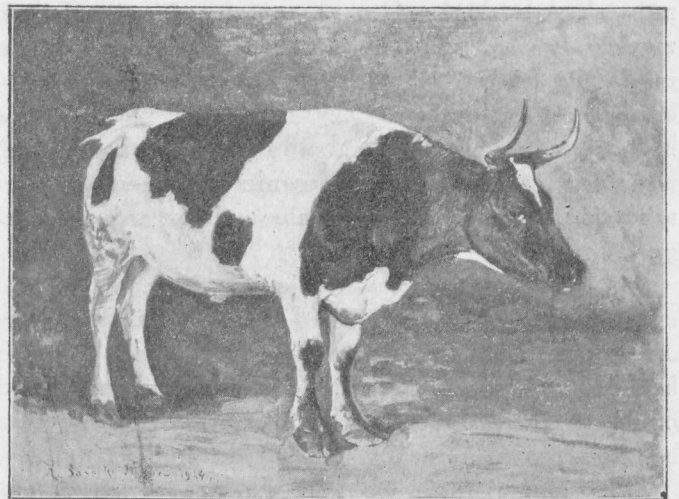
Lecz trzeba widzieć te jego obrazy, ażeby zrozumieć, ile ten człowiek włożył w nie umiłowania, jak kocha on tą ziemię, jak ją odczuwa... Każdy jego obraz, przedstawiający napozór zwykły fragment wiejski, to cały poemat, to wydarty żywcem naturze strzęp ziemi polskiej... Czy to łan żyta, czy struga, czy rżysko z pasącymi się na niem krowami czy sosna samotna, czy zwykła droga wiejska, przykuwają do siebie oczy widza prostotą i naturalnością wykonania, a jednocześnie wielkiem umiłowaniem tematu...

Na wystawie jubileuszowej Lasocki zgromadził tylko cząstką swego bogatego dorobku artystycznego. Brak tam wielu jeszcze prac jego, a zwłaszcza wspaniałych wnętrz, malowanych przy sztucznym oświetleniu, brak znakomitych portretów...

Wspierały talent Lasockiego znajduje się obecnie w całej pełni rozwoju i nie ulega wątpliwości, że obdarzy jeszcze sztukę naszą wielu znakomitemi dziełami.

Czy podobna, ażeby z tak niewinnych istot, jak dzieci, wyrastały takie straszne potwory, jak ludzie?

B. Prus. (Emancypantki)



Byk

JÓZEF PIOTROWSKI, NACZELNIK MIASTA WARSZAWY

(EPIZOD Z DZIEJÓW 1863 R.)

Powyższych danych, dotyczących samej osoby Piotrowskiego, komisja śledcza nie była w możności sprawdzić, musiała zatem nolens volens na nich poprzestać. Jak dzś już wiemy, były one w drugiej swej części więcej niż ogólnikowe. Piotrowski był w pierwszym okresie manifestacji narodowych, w roku 1861-ym, jednym z głównych organizatorów i uczestników wszystkich manifestacji, nabożeństw i t. d. w Płocku. W dniu 3-im sierpnia tegoż roku aresztowany był za ułatwienie koledze Józefowi Oksińskiemu, głośnemu później partyzantowi w Piotrkowskiem, ukrycia nabitego pistoletu podczas nabożeństwa galowego w katedrze płockiej. Uwolniony na mocy decyzji z dnia 16 września tegoż roku i oddany pod dozór policji, pozostał pomimo to i nadal jednym z najruchliwszych w Płockiem członków sprzysiężenia które już wówczas, na jesieni r. 1861-go, ogarniać zaczęło niemal cały kraj swą siecią organizacyjną. Zmuszony po paru miesiącach do wyjazdu zagranicę dla uniknięcia surowszych już represji rosyjskich, udał się zrazu do Paryża, przepełnionego wówczas młodzieżą polską, a po otwarciu szkoły wojskowej polskiej w Genewie wstąpił do niej celem przygotowania się do przyszłej walki zbrojnej, nieuniknionej już wówczas w przekonaniu całej gorętszej młodzieży. W połowie 1862 r. Piotrowski powraca potajemnie do kraju w związku z projektowanym na ten czas przez pewne koła wybuchem ruchu zbrojnego. Termin ten jednak został odroczony na czas nieograniczony. Z rozporządzenia Komitetu Centralnego udał się wówczas Piotrowski do województwa augustowskiego celem ugruntowania tam organizacji narodowej i poczynienia przygotowań do mającego nastąpić powstania. Według świadectw współczesnych zasługi młodego emisariusza na tem polu miały być wręcz nieocenione. Z zapalem i poświęceniem, na jakie może zdobywać się młodzież polska w chwilach dla kraju doniosłych, krążył on bez przerwy po wszystkich zakątkach powierzonego sobie województwa, od Łomży po Marjampol, od Tykocina po Myszyniec, budząc wszędzie ducha narodowego i nawiązując nici organizacji. Pracę tą wzmógł jeszcze wybuch zbrojny w nocy na 23 stycznia. Rok cały wytrwał Piotrowski na tem trudnym, niesłychanie wyczerpującym stanowisku komisarza wojewódzkiego. W lipcu odwołano go do Warszawy, gdzie zajął zrazu stanowisko pomocnika organizatora miejskiego przy boku Ludwika Lemkego. Po przewrocie wrześniowym został naczelnikiem miasta. O tych wszystkich przejściach swoich i pracach nie wspominał oczywiście nawet słówkiem ujęty tak niespodziewanie w szpony wroga więzień cytadeli warszawskiej. Zaprzeczył też stanowczo, jakoby należeć miał do organizacji narodowej w Warszawie i uczestniczyć w jakichkolwiek jej pracach. Nie wymienił nikogo. Nie przyznał się nawet do znajomości z Królikowskim.

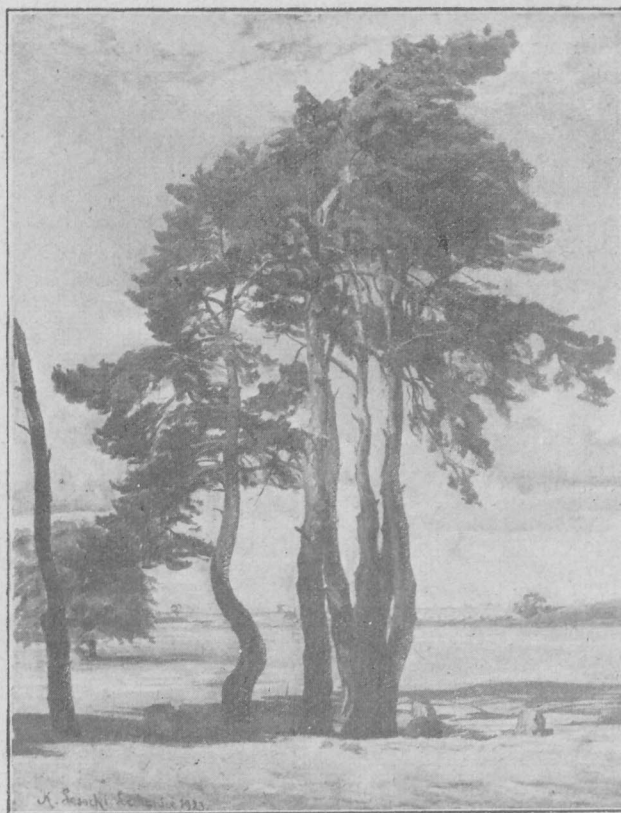
Sprowadzono wówczas oskarżyciela. Nastąpiła scena konfrontacji obu więźniów, tak częsta w owych czasach ciągłych poszukiwań, ciągłych śledztw, ciągłych, coraz rozleglejszych oskarżeń.

— Nie zapieraj się, panie Piotrowski, że pan mnie znasz bardzo dobrze — mówił oskarżyciel, a skryba komisji skwapliwie wciągał jego słowa do protokołu. — Widziałem się z panem u pani Waszkowskiej i byłem raz u pana w mieszkaniu...

— Na to odpowiadam — oświadczał z ko'ei Piotrowski — że pana nie znam i skąd pan mnie znasz, nie wiem.

Obie strony pozostały przy swoim. W końcu obaj więźniowie odprowadzeni zostali do swoich cel.

Królikowski udzielał widocznie komisji dalszych wskazówek i wymieniał nowe osoby, gdyż są tego ślady w aktach sprawy. Nie zawsze jednak połów wydawał oczekiwane rezultaty. Między innymi w związku bezpośrednio z tą sprawą prezes komisji śledczej, osławiony z bezwzględności i okrucieństwa pułkownik Tuchołko „zarekwirował” według słów raportu policyjnego — o dostawienie do komisji na dzień 12 października na godzinę 9-tą zrana, nie aresztując, Mieczysława Kamińskiego, dymisjonowanego oficera, mieszkającego przy ulicy Freta w domu pod nr. 1 yp. 280^o. Komisarz policji wykonawczej cyrkułu 3-go mógł jednak tylko donieść, że ów Kamiński istotnie mieszkał pod wskazanym adresem do dnia 7-go października, ale w dniu tym wymeldowany został do cyrkułu 10-go, gdzie, pomimo natychmiastowych poszukiwań, również go nie znaleziono. (D. n.)



Sosna

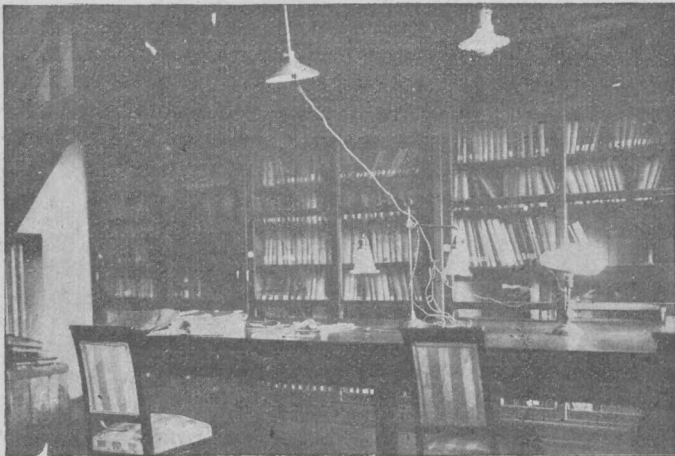
Kazimierz Lasocki

NAUKA POLSKA

INSTYTUT NAUK ANTROPOLOGICZNYCH
WARSZAWSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO

Biblioteka ta posiada skatalogowanych 4091 dzieł. W czasach ostatnich otrzymała ona na wymianę za wydawnictwa Instytutu 65 czasopism z zakresu nauk antropologicznych oraz przeszło 300 dzieł specjalnych.

Sekcja posiedzeń naukowych I. N. A. (Oddział Polski Międzynarodowego Instytutu Antropologii) liczy w swym składzie 4 członków honorowych, 17 członków zagranicznych i 56 członków



Biblioteka Inst. Nauk Antropologicznych

współpracowników krajowych. W ten sposób ześrodkowuje ona w sobie działalność w zakresie nauk antropologicznych w Polsce oraz reprezentację tej działalności zagranicą. Członkowie współpracownicy Instytutu Nauk Antropologicznych mają prawo korzystania ze zbiorów i księgozbioru Instytutu, mają prawo głosu czynnego w sprawach naukowych, rozpatrywanych na posiedzeniach Instytutu i mogą być delegowani w celu prowadzenia badań naukowych.

Na podstawie uchwały zebrania ogólnego konstytucyjnego Międzynarodowego Instytutu Antropologii, które odbyło się d. 25 lipca 1921 r. w Liège, członkowie współpracownicy Instytutu Nauk Antropologicznych T. N. W. zaliczeni zostali do kategorii: Membres adhérents de l'Institut International d'Anthropologie".

W roku ubiegłym Sekcja powyższa odbyła 23 posiedzenia, na których przedstawiono 26 prac i referatów.

Wreszcie w roku ubiegłym Oddział Polski Międzynarodowego Instytutu Antropologii zorganizował udział grupy polskiej w zjeździe Instytutu w Pradze. Była ona najliczniejszą grupą narodową oraz przedstawiła największą liczbę referatów, ogółem 26, co stanowiło przeszło 1/4 wszystkich zgłoszeń. Ze liczne referaty polskie nie przebrzmiały bez echa, dowodem jest zdanie, wypowiedziane podczas zjazdu tego przez znanego antropologa szwajcarskiego prof. E. Pittarda z Genewy, iż we-

dług jego przekonania najintensywniej pracują obecnie w zakresie nauk antropologicznych — w Polsce, w Hollandji, w Hiszpanji i w Czechach.

Organem Instytutu Nauk Antropologicznych T. N. W. i Oddziału Polskiego Międzynarodowego Instytutu Antropologii jest „Archiwum Nauk Antropologicznych“, w którym drukowane są prace i rozprawy w językach: polskim, łacińskim, francuskim, angielskim, włoskim i niemieckim. Ogółem wydane zostało 17 zeszytów tego wydawnictwa. Prócz tego wznowiony został w r. 1924 „Światowit“, który jest organem Muzeum prehistorycznego im. E. Majewskiego. W wydawnictwach powyższych redagują: dział antropologii—Kazimierz Stołyhwo, dział etnologii—Stanisław Poniąkowski, dział archeologii—Włodzimierz Antoniewicz.

Sekcja Orientalistyczna I. N. A. Przewodniczącym Sekcji jest ks. Władysław Szczepański, zastępcą przewodniczącego ks. Wilhelm Michalski, sekretarzem Stanisław Franciszek Michalski.

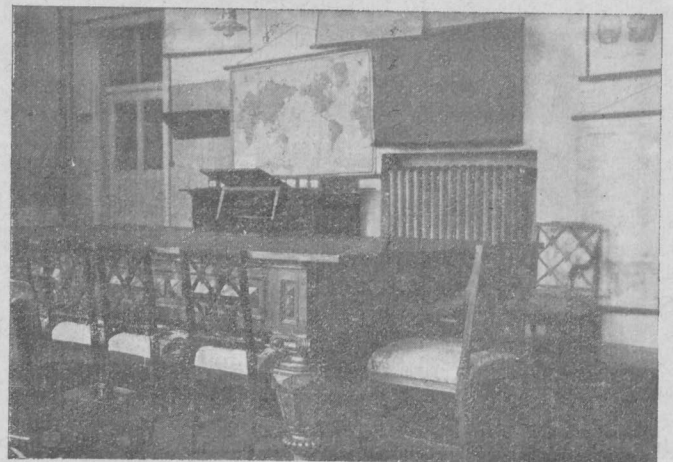
Sekcja odbyła w roku ubiegłym 6 posiedzeń, na których przedstawiono 6 referatów.

Pod egidą Sekcji Orientalistycznej wyszło dotąd 5 publikacji. Sekcja nawiązała stosunki z orientalistami zagranicznymi i otrzymuje cenne wydawnictwa wzamian za swe publikacje.

Sekcja Morfologiczna I. N. A. Sekcja ta stanowi Towarzystwo Anatomiczne, które znajduje się w luźnym związku z Instytutem Nauk Antropologicznych, przy którym powstała w 1923 r. Przewodniczącym Towarzystwa Anatomicznego jest Edward Loth, zastępcą przewodniczącego Mieczysław Konopacki i sekretarzem Czesław Jastrzębski. Sekcja ta odbyła w roku ubiegłym 6 posiedzeń, na których wygłoszono 11 komunikatów i przedstawiono 11 pokazów.

* * *

Jak widzimy więc dorobek naukowy i organizacyjny Instytutu Nauk Antropologicznych T. N. W. przedstawia się obficie i poważnie. Ten dobry



Sala posiedzeń Inst. Nauk Antropologicznych

rezultat zawdzięcza Instytut wielkiemu wysiłkowi duchowemu i materialnemu zgrupowanych przy nim pracowników naukowych, jak również ofiarności społeczeństwa na cele Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, która była w czasach ostatnich jedyną podstawą materialną Instytutu Nauk Antropologicznych.

Żywić należy nadzieję, że społeczeństwo polskie w dalszym ciągu pamiętać będzie o Instytucie Nauk Antropologicznych, który postawił sobie za zadanie służyć społeczeństwu wynikami swych badań nad charakterem naszej rasy i naszej kultury.

Kazimierz Stolyhwo.

Adres Instytutu Nauk Antropologicznych: Warszawa, Śniadeckich 8, tel. 313-51. Nr. 9933 konta Instytutu w Pocztowej Kasie Oszczędności w Warszawie.

K. A. CZYŻOWSKI.

ZWIĄZEK CHUSTECZKARZY

II.

Jak Zabłocków Zabłockowem takiego ruchu nikt w nim nie pamięta.

Skończyła się suma i na cmentarz kościelny wysypał się tłum pobożnych ludzi. Jedni ruszyli do domów z powrotem, inni, jak to zwyczaj każe, gromadzili się małymi grupkami, według partji i znajomości i zajęli się oglądaniem i obmawianiem bliźnich.

Tuż przy bramie stała grupa najznamienitszych miejskich lowelasów i dandysów (modernistycznie: szlifbruków) i właśnie zabierała się do przeglądu pięknych twarzątek zabłockowianek, gdy wtem z dwóch stron z za kościelnych murów wynurzył się tuzin miejskich radnych, 3 strażaków i 2 woznych i zanim ktoś mógł sobie zdać sprawę z ich postępków, otoczyli całą grupę chluby i kwiatu młodzieży zacnego grodu.

Młodzież oszołomiona stała bezradnie, tymczasem groźny kordon zamknął się, i w tej samej chwili 17 par rąk sięgnęło do kieszonek napadniętych młodzieńców, wyciągając z nich szybkim i zdecydowanym ruchem najrozmaitszej piękności chusteczki.

Ten czyn przywrócił napadniętym przytomność. Pierwszy się ocknął pan Pipcio Hipolitek (cenny syn znanego weterynarza miejskiego) i jednemu ze strażaków wrywając chustkę (naturalnie swoją) tak podbił brodę, że biednemu pupilowi św. Florjana czako (albo hełm) wbiło się aż po nos. Niezszczęśliwiec, po kilku nieoczekiwanych skokach, usiadł nagle na ziemi i kopiąc w koło nogami, rękami starał się wydobyć swój własny łeb z pułapki.

Szesnastu pozostałych członków władzy, nie chcąc się narażać na podobne zasłabnięcie, wzięto nogi za pas i ze zdobytymi chustami w rękach pędziło w stronę magistratu. Wśląd za nimi puścili się ograbieni młodzieńcy. W tym jednak wypadku okazało się, że władza, jeśli chce, potrafi szybko (nawet bardzo szybko) postępować (nawet biedz), bo oto pościgowi dopiero przed samymi

drzwiami magistratu udało się dołapać opieszałego pana sekretarza Pisarkiewicza, który, przyciśnięty do muru, wyznał o co chodzi.

Zaledwo młodzież pojęła, że jest to normalny wypadek egzekwowania podatku, gdy na balkon wyszedł sam pan burmistrz Masarzewicz i ogłosił, że wszystkie chustki, w liczbie 36, są do odebrania w sekretarjacie magistratu, za poprzedniemi uiszczeniem podatku w sumie 35 groszy od nosa,

Kilka kamieni i kilkadziesiąt epitetów zmusiło pana burmistrza do wycofania się z balkonu.

Oburzony tłum dandysów z punktu urzędził wiec. Niebawem do wiecowników przyłączyli się inni obywatele miasta. Rozprawiano coraz goręcej i coraz namiętniej. Tłum podzielił się na dwa stronnictwa.

Umiarkowana opozycja, piorunując, nawoływała do zorganizowanego protestu przeciwko wkraczaniu magistratu w szczegóły ludzkiej garderoby. Radykalna zaś opozycja, pomstując siarczyscie, śmiało biła w osobę samego burmistrza Masarzewicza oraz wszystkich radnych i wołała, aby ich usunąć.

Nie chcąc dopuścić do krwawych zamieszek, pan burmistrz znowu ukazał się na balkonie i narażając życie, oraz interesy swej masarni, wyłuszczył przed tłumem powody, dla których rada miejska powzięła wiadomą uchwałę. Gdy jednak szanowny ojciec grodu i córek na wydaniu, dokończył świętą swą orację wykrzykiem patriotycznym, że do ostatniej kropli krwi magistrat będzie „ten tego“, podniósł się znowu tumult, zmuszający go do wycofania się z placu.

Nagle ktoś zaintonował znany marsz „Ospały i gnuśny“. W jednej chwili uformował się pochód manifestacyjny.

Pomaszerowano przed masarnię pana burmistrza, zdemolowano w niej dwie szyby i szyld i zjedzono wszystkie wędliny z wystawy (złośliwi twierdzili, że pół miasta będzie po tych kiełbasach szczeniaki, a drugie pół rżało). Następnie pochód udał się na rynek i znowu pod magistrat, którego członkowie w obawie o własne głowy, nie dawali się żadnym sposobem namówić do swobodnego powrotu do domu.



Ranna toaleta

Henryk Weysenhoff

Dopiero koło godziny 4-ej rozpoczęły się pertraktacje.

W rezultacie jednak, magistrat oznajmił, że z uchwały nie zrezygnuje i będzie wszelkimi sposobami prawnymi ścigał osoby „ozdabiające się na zewnątrz jakimikolwiek wywieszkami“ i będzie ścigał z nich podatek przewidziany i obmyślany dokładnie.

W odpowiedzi na to powtórny wiec ciemżonych dandysów powziął rezolucję, nawołującą do zorganizowania „związku chusteczkarzy“.

Przez całą noc wrzała praca nad statutem, a już w poniedziałek rano odeszło pismo do starostwa z prośbą o zatwierdzenie związku, jako samoobrony społecznej.

Ponieważ jednak rada miejska, prócz różnych policjantów i urzędników, przedstawiała siłę 60 radnych, a liczba młodzieńców związkowych wynosiła zaledwo 41, postanowiono związek rozszerzyć i na nieletnie osoby, które w myśl uchwały magistratu, „ozdabiały się wywieszkami na zewnątrz“. Mowa tu naturalnie o niedoroślakach, grających w guziki, a noszących stale poniżej pleców wiszące „metryki“.

Wyzyskanie nieszczęśliwego (przytoczonego powyżej) zwrotu uchwały magistrackiej, okazało się niesłychanie dowcipnem, bo oto siła związku w jednej chwili wzrosła z 41 osób do 360, co już poważnie zagrażało powadze magistratu.

Podstęp ten pierwszy spostrzegł pan radny Piszczalkiewicz i na zebraniu ad hoc zwołanem też w poniedziałek, postawił wniosek, aby brzmienie uchwały zmienić w tym sensie, że od podatku zwolnione są osoby, noszące wywieszki niżej pleców, bez względu na to, czy są to chustki do nosa, czy końce koszulek“.

Poprawkę przyjęto z zadowoleniem, że się związkowi broń z ręki wytrąca.

Tymczasem związek na wieść o zaszłym wypadku powziął decyzję, by przeciwdziałając demagogicznej uchwale rady miejskiej, dążącej wyraźnie do rozbicia związku, wszyscy jego członkowie zsolidaryzowali się i dla manifestacji, od tej chwili, aż do rozstrzygnięcia zawilej sprawy przez starostwo, nosili chustki do nosa przypięte poniżej pleców.

Powzięta decyzja, będąc znakiem mocy związku, będzie równocześnie symbolem ciemżycielstwa magistratu, o czym w dodatkowym piśmie zawiadomiono starostwo, zdając się na jego opinię i sąd w tej mierze.

Ponieważ i magistrat, broniąc swej powagi, posłał dotyczące tej sprawy akta do starostwa, sprawa narazie utknęła.

I być może, że historia cała powoliby się zatarła i obie strony pogodziłyby się, szczególnie, że od opisanych powyżej wypadków upłynęło już dobrych kilka miesięcy.

Ale tej możliwości zgody stanęła nagle na przeszkodzie zgoła nieprzewidziana historia.

Oto, odpowiadając na wniesione pisma, starostwo zawiadomiło urzędowo tak magistrat, jak i związek chusteczkarzy, że oddając sprawę do dalszego urzędowania, równocześnie zaleca, aby obie sporne strony trwały w powziętem napięciu i sytuacji, aż do decyzji odnośnych czynników. Sytuacja

wyraża się: 1) magistrat miasta Zabłockowa, uchwalwszy podatek od wszelkich zewnętrznych wywieszek (z wykluczeniem tychże poniżej pleców), trwa na swem stanowisku egzekutora uchwały. 2) Związek chusteczkarzy, walcząc z niesłuszną, według niego, ustawą, aż do rozstrzygnięcia sprawy przez powołane czynniki, obowiązuje się nosić chustki do nosa poniżej pleców, co podatkowi nie podlega.

Pisma te za pokwitowaniem doszły do rąk adresatów i obie strony podpisami odpowiedzialnymi przyjęły je do wiadomości, a wysoka ambicja kazała im trwać nieodstępnie przy swoim.

Obie też strony po dziś dzień wypełniają przyjęte zobowiązania z całą gorliwością, ale, niestety, i z coraz większą goryczą, bo poza wspomnianymi pismami, żaden znak więcej o tej sprawie ze starostwa nie wpłynął.

I oto dziś, kto zabłądzi przybadkiem do Zabłockowa, widzi dorosłą młodzież z „metrykami“, o licach przygnębionych i jakieś zaciekłości w oczach.

Zaciekawiony fenomenalną garderobą u tak dorosłych ludzi, podróżnik pyta o jej powód i pochodzenie i za odpowiedź słyszy to wszystko, com tu opisał, z dodatkowym westchnieniem:

„i panie dzieju... patryjotyzm i ambicja nakazują nam dotrzymać zobowiązania i nosić te przekłete chustki, dzięki którym nikt z nas nosa poza Zabłocków wysciubić nie może. a tymczasem — panie — sprawa jak była, tak jest w „dalszem urzędowaniu i kto wie, czy wogóle do czego innego, jak tylko do urzędowania dalszego się nada“.



KARNAWAŁ DZIECIĘCY — E. LONYOT

ANEMJA

Z chorób, panujących obecnie u nas nagminnie, najbardziej dokuczliwą jest anemja.

Pomijając już tą rzeczywistość, na którą nieuleczalnie cierpią głodujące stale rodziny urzędników państwowych, rzuciła się ona na wiele innych dziedzin życia społecznego i gospodarczego.

W pierwszym rzędzie dotknięty nią został sejm, który prowadząc nader anemicznie swe obrady i prace, tracąc czas na jałowe dysputy i spory partyjne, nie może zdobyć się na zdrowy odruch energii, ażeby uzdrowić nareszcie panujące u nas stosunki i w czyn wprowadzić wiele, unoszących się, jak dotychczas, w sferze projektów, postanowień...

Anemja również opanowała i rząd, który, z wyjątkiem dziedziny skarbowej, z dziwną obawą unika wszelkich śmielszych kroków, by nie narazić się tej lub owej partji, nie myśląc o tem, że tylko śmiałe decyzje mogą wyprowadzić kraj z chaosu, w jakim coraz bardziej się pograża, że tylko męskie postawienie sprawy może nauczyć wrogów naszych poszanowania.

Zaraza ta dotknęła również i nasze sfery gospodarcze. Wysysa je i pożera, wycieńczając do tego stopnia, że nie są w stanie... płacić podatków, choć coprawda na inne rzeczy mają dość zasobów.

Anemja objęła również i sfery robotnicze, które pod jej wpływem starają się jaknajmniej utrudzać pracę, z wytrwałością, godną lepszej sprawy, broniąc swiąt, które władze kościelne i państwowe skasowały...

Anemja przejawia się i w naszej literaturze, gdyż na setkę wydanych utworów literackich zaledwie parę jest oryginalnych polskich, a i z tych jedna może posiadać znamiona prawdziwego talentu.

W sztuce teatralnej również święci ona swe tryumfy, gdyż wystawione ostatnio sztuki oryginalne tchną nią w sposób przerażający, tak, że teatry nasze z musu czerpią z repertuaru obcego. Może jednak przyczyną tego jest anemja kas dyrektor-skich, nie chcących wypłacać wyższych honorarjów autorom sztuk swojskich, gdyż tłumaczone dużo taniej kosztują...

Dotknięte nią również zostało i nasze życie społeczne, a wynikiem jej jest zapewne, że wiele organizacji, szumnie głoszących o celach i zamierzeniach swoich, umiera powoli z wycieńczenia, z powodu zbyt małego zainteresowania ogółu, a zupełnej bezczynności członków...

Anemicznym nawet jest i obecny karnawał, gdyż pomimo wielu hucznie zapowiadanych bali publicznych, liczba uczestników ich jest tak mizerna, że koszta z trudem się pokrywają... Nawet zabawy w domach prywatnych, skutkiem anemji kieszonkowej, prawie że zupełnie ustały, nawet w sferach paskarskich.

Nie skarżą się jeszcze na anemję dancingu i niektóre restauracje, gdyż bywa w nich przeważnie publiczność z „uciśnionych“ sfer mniejszościowych, z zasobem sił z dawnych złotych czasów, nietkniętych jeszcze anemją finansową...

Anemja również dotknęła i nasz sport, który mniej energicznie obecnie kopie piłką, a nart, saneczek i łyżew używać nie może, z powodu, że nawet i zima, dotknięta zarazą, osłabła, złągodniała, przypominając raczej wiosnę i przez cały czas długiego swego panowania darząc nas zaledwie paru dniami mrozu i śniegu.

Wielu lekarzy i znachorów rozmyśla nad sposobami leczenia tej anemji, wiele piszą artykułów w tej sprawie, lecz, niestety, atrament nie jest zupełnie wskazanym środkiem leczniczym, i wszyscy jednogłośnie utrzymują, że tylko silne dozy zastrzyków *złota* przyczynić się mogą do radykalnego uleczenia chorego organizmu.

E. J. K.



Ś. p. Jan Żyznowski

Stanisława Umińska

W dniu 7 b. m. w Paryżu odbyła się sprawa Stanisławy Umińskiej, oskarżonej o zabicie, celem skrócenia cierpień, narzeczonego, cenionego pisarza, ś. p. Jana Żyznowskiego. Sąd przysięgłych uniewinnił Umińską jednomyślnie.



Zawalony dom przy ul. Gęsiej 87

Szczęście prawdziwe i uczciwe istnieje na wysokościach, na które z trudem musi się wspinać ten, kto go żądny.

E. Orzeszkowa. (Pamiętnik Wacławy).

MIŁOŚĆ I RACHUNEK

Jest przysłowie: kochajmy się, jak bracia, liczymy się, jak żydzi.

Otóż przysłowie to da się zastosować i w polityce. Można powiedzieć, że stosunki nasze z Francją są bardzo przyjacielskie, więcej: przyjaźń ta posiada ścisły podkład sentymentu... Francja kocha nas szczerze. Bez wątpienia. Ale zamilknąć musi głos miłości, gdy przemawia interes. Życie bardzo często stwierdza tę zasadę.

Jeden charakterystyczny taki wypadek opowiada L. Biliński w drugim tomie „Wspomnień i Dokumentów“, który niedawno ukazał się na półkach księgarskich. Mówiąc nawiasem, obadwa tomy „Wspomnień“ Bilińskiego, wieloletniego ministra w Wiedniu, oraz ministra skarbu polskiego, są niezmiernie ciekawe, zawierając ogromną ilość przyczynków i charakterystyk wybitnych obecnie w Polsce osobistości.

Otóż za czasów ministerstwa Bilińskiego bawił w Warszawie niejaki pan Bastide z Paryża. Przywiózł on tu towary i wysprzedał je zupełnie na targu warszawskim za banknoty polskie. Poczem zażądał od Centrali dewiz miliona franków na zapłatę tych towarów. Kurs franka wynosił wtedy (1919 r.) około 4 marki. Suma była znaczna. Osoba kupca wogóle nieznana. Centrala dewiz miała kłopot. Atoli ze względu na narodowość kupca, Centrala dała swe upoważnienie, wystawione przez ministra skarbu, na zapotrzebowanie franków w swoim banku. Bank Handlowy oświadczył, że tyle franków nie posiada. Czy tak było, nie wiadomo. Dość, że daleki od elegancji poseł francuski p. Pralon wniósł w tej sprawie skargę do ministerjum spraw zagranicznych. Rzecz dostała się do ministerjum skarbu. Okazało się, że p. Bastide nie miał powodu do skargi. A przytem, jak i p. Pralon, też nie grzeszył elegancją, więc jednego z wysokich urzędników min. skarbu napadł brutalnie w biurze. Ale w ministerjum nie wiedzieli, że p. Bastide jest przyjacielem, czy też krewnym p. Pichona, ministra spraw zagranicznych w Paryżu... Tedy p. Pichon nadesłał depezę do rządu w Warszawie, a w tej depeży, imieniem Francji, twardo i energicznie domagał się naprawy krzywd panu Bastide. Przytem dodać trzeba, że „Francja z tego powodu wstrzymała wysyłkę zakupionych u niej dla walczącej w mrozie armji naszej mundurów i płaszczów“... Potem przyszedł p. Pralon, poseł francuski, do ministra skarbu w Warszawie, powiedział mu kazanie i wywodził, że ponieważ Bastidowi odmówiono z końcem września sprzedaży miliona franków po kursie 4 mk. p., obecnie zaś kurs franka jest 8 mk. p., zatem p. Bastide stracił 4 miliony mk. p. i żąda odszkodowania. Minister skarbu polskiego wydał polecenie dostarczenia 1 miliona franków za 4 miliony mk. pol., resztę zaś miał dopłacić skarb. Atoli p. Pralon, poseł francuski, otrzymawszy koncesję dla p. Bastide, zażądał jej jeszcze dla wielu innych kupców paryskich. Wywiązał się taki dialog. — Minister skarbu: — Dobrze, proszę mi ich przysłać, podobnie jak p. Bastide.

Poseł fr. Pralon: — Misja francuska nie może

ich panu przysłać, bo ich sama nie zna z uwagi na ich nieobecność w Polsce.

Istnieją bowiem w Paryżu liczni, nieznani nam kupcy, którzy jeszcze przed wprowadzeniem centrali dewiz otrzymali od polskiej komisji przywozu i wywozu upoważnienie do importu towarów do Polski. Gdyby byli przywieźli te towary zaraz po zaprowadzeniu Centrali, byłiby żądali pozwolenia na zakupno franków po 4 mk. p. i nie byłiby go uzyskali. Obecnie mogliby każdej chwili przybyć z towarami i ponieśliby szkodę po 4 mk. p. za franka. Rząd polski musi więc dać gwarancję, że każdemu z przyszłych przybyszów zwróci różnicę ponad 4 mk. p., czyli poniesie stratę“.

Minister Skarbu, oburzony: — Jakto, Francja żąda nieograniczonej gwarancji skarbu polskiego za nieznane s'raty nieznanych obywateli francuskich?

Minister spraw zagranicznych przestraszył się tonu ministra skarbu, a p. Pralon potwierdził, że jego żądanie jest nieodzownem żądaniem p. Pichona.

Minister skarbu: — A jeżeli do tego czasu nie będzie już Centrali?

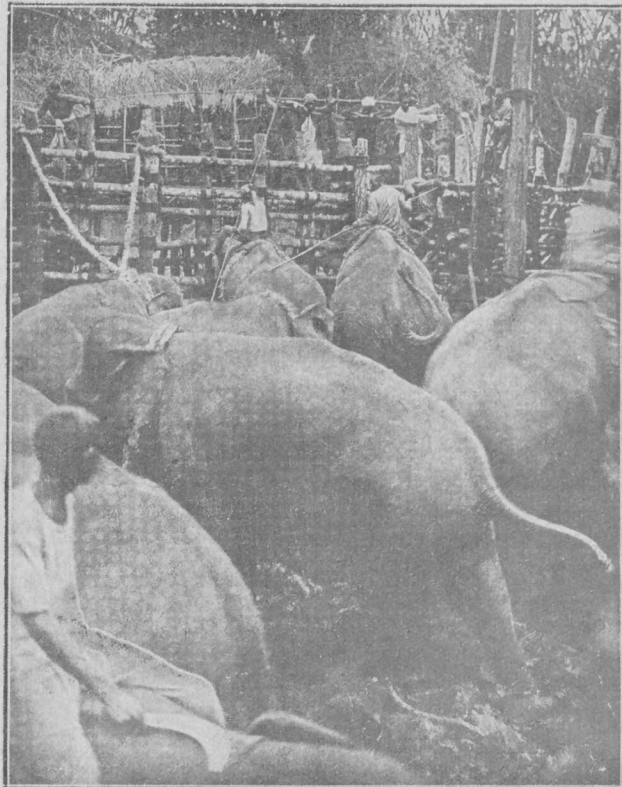
P. Pralon: — A to co innego, wtedy nie będzie instytucji, na którą moglibyśmy u rządu polskiego wnieść skargę.

Centrala dewiz została zniesiona.

Ale niewesoły jest żywot polskich ministrów skarbu.

Interes bowiem nie zna obliwów miłości.

Lektor.



Polowanie na słonie w Indjach

TEATR im. W. BOGUSŁAWSKIEGO

BANDURKA, — obrazki śpiewające z teki L. S. Schillera.

Teatr im. Bogusławskiego wystąpił z nową premierą. Pan L. S. Schiller, zamiłowany w inscenizowaniu piosenek ludowych lub z przełomu XVIII—XIX w., oraz satyr XIX w., które z takim powodzeniem wystawiał w Reducie, dał tym razem szereg śpiewnych obrazków, wystawionych świetnie, śpiewanych i granych miłe, lecz zatracających wogóle pojęcie o o teatrze, przeznaczonym dla szerokich mas, mającym kształcić ich smak estetyczny, szczeplić pojęcia o wielkiej sztuce.

Bezzaprzeczenia, te „obrazki śpiewające“ są wielce miłe, to piękne zabawki, bawiące wzrok i słuch, lecz nie dające tego pokarmu duchowego, jakiego żądać należy od teatru ludowego.

Takie błachostki, w podobnej formie, wystawiać może z powodzeniem nawet „Qui-pro-Quo“, lecz nie teatr o wysoko zakreślonych aspiracjach artystycznych. Szkoda poprostu marnowania talentów artystów, których tak świetne grono teatru ten posiada.

A przecież może on dać świetnie radę wielkiemu repertuarowi, czego dał dowód, wystawiając „Opowieść zimową“ Szekspira.

Tyle dzieł wielkich poetów i dramaturgów polskich i obcych czeka na spopularyzowanie na deskach sceny o zakroju teatru im. W. Bogusławskiego. Dlaczego pan L. S. Schiller nie sięgnie do tego repertuaru i nie uraczy nas dziełem godnym i teatru, i jego, i artystów?...

Czyżby się obawiał niepowodzenia kasowego?.. Możemy go zapewnić, że na dzieła wielkich mistrzów tłumi chodząca będą... Dowodem tego są sztuki, wystawiane w teatrze Polskim, a choćby i „Don Juan“ Zorilli, grany tylokrotnie przy wyprzedanej sali w teatrze Narodowym.

A więc, panie Schiller, czas rzucić błachostki i wziąć się do wypełnienia zobowiązań, zaciągniętych względem publiczności przy otwarciu teatru.
E. J.

CZAROWNĄ KSIĄŻKA

Znakomitą myśl miała „Książnica Polska“, wydając przepiękne „Cudowne bajki“ A. Dygasińskiego w wspaniałej szacie typograficznej. Pełne czaru prawdziwej poezji, pisane językiem jędrnym, prostym, zrozumiałym dla dzieci, przenoszą je w zaklętą krainę baśni, rozsnuwając przed ich oczyma cały szereg tę zowych obrazów.

Adolf Dygasiński, wielki mistrz słowa, którego teraz dopiero „odkrywa“ Polska, znakomity psycholog i znawca duszy dziecięcej, na temat baśni ludowych stworzył cały szereg przepięknych opowieści fantastycznych, prawdziwych małych poematów, w których znalazło się miejsce i dla tak ulubionych przez niego zwierząt.

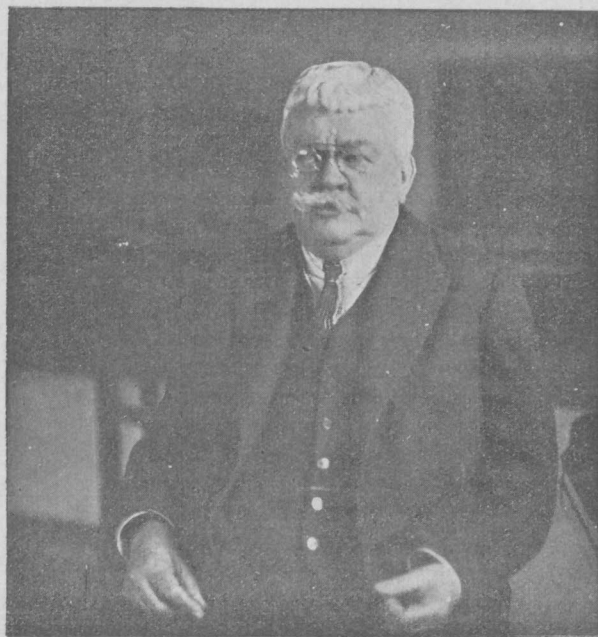
Książka Dygasińskiego różni się wielce od wielu „zbiorów bajek“ mniej lub więcej nieudolnie

przerabianych i opracowywanych. Ożywia ją technicznie prawdziwej, wielkiej poezji, dla której bezwątpienia przyjęta zostanie z radością przez młodzież!

W parze z precudną treścią, idzie i strona zewnętrzna. Całość ozdabiają barwne ilustracje Zofji Szyszko-Bohuszówny.
E. J.

Prawdziwa równość nie wymaga bynajmniej, aby przywileje były zniesione, lecz ażeby były dostępne jednako wszystkim.

Franciszka Sarcey.



Stanisław Barcewicz, znakomity artysta-skrzypek, profesor Konserwatorium Warszawskiego, obchodzi w tych dniach jubileusz 50 rocznicy działalności artystycznej.



Mieszkańki Londynu, obserwujące na dachu zaćmienie słońca.

ZE STARYCH SZPARGAŁÓW

KRÓLA POLSKIEGO ŻEGNANIE
Z KRÓLESTWEM POLSKIM.

Idę w grób śmieie, już ostatnie plemię
Jagiellów, którzy tu rządili ziemię;
Dusza używa już wiecznej radości:
Tu macie kości.

Które oddajcie grobom tym pocziwie,
Gdzieście me przodki chowali płaczliwie;
Niech leżą społem do kresu swojego,
Sądu bożego.

Zdawam wam sceptrum i opiekę zwierzony,
Nie znając, dokąd był czas zamierzony;
W pokoju z wsząd odchodzi korony
W niebieskie strony.

Mieczem ni ogniem nieprzyjaciel srogi
Nie czynił sobie przez Koronę drogi;
Stolec królewski w oblężeniu nie był,
Pókim na nim żył.

Harde lflanty sławą szczęścia mego
Wziąłem pod nogi bez boju krwawego;
Srogi poganin o nic się nie kusił,
Mnie nic nie ruszył.

Zachowałem wam prawa i wolności
Według przysięgi wszystkie w stateczności,
Którzycheście swą prawicą dostali,
Krew rozliwali.

Z sobą nic nie wziął, wszystkom wam zostawił,
Pierwszą unię jam ostatnie sprawił;
Tyraństwem ręki nie zmazałem nigdy,
Żyłem bez krzywdy.

Lecz łącno z tobą narodzi cnotliwy,
Któryś na sławę pocziwą tak chciwy;
Za nic dla niej masz gardło, majątności,
Największe włości.

Człowiekiem był i grzechom przychylny,
Urodził też świat me ciało omylny,
Które już w ziemi: nie lży go, Polaku,
A pilnuj ślaku.

Niech każdy mija tam, kędym ja błądził,
Życzę wam, by in was fortunny rządził.
Bóg świadek, zem był gotów ku dobremu
Pospolitemu.

I z tem cię żegnam, cnotliwy narodzi,
Życząc ci, byś był wiecznie w swej swobodzie;
Wcaleś zachował mnie powinność moję,
Ja tobie twoję.

Ostatnią siostrę jeszcze domu mego,
Którą być znacie narodu takiego,
Który wam zawsze szczęśliwie panował,
Hojnie darował.

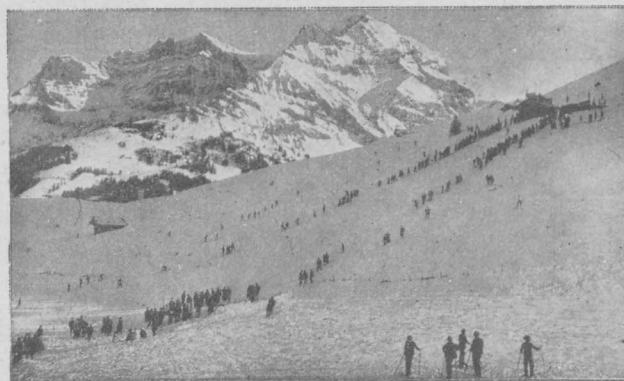
Opiekę wam zdając, w opiekę wam daję,
Acz, umierając, serce żalność kraje,
Najdroższy klejnot, krew mą i sirotę,
Na waszą cnotę.

Jać już zostawam bez wszej wieści w grobie,
Zmarłym dziś będąc — jutro tak być tobie —
Już ja używam wiecznego pokoju
Bez wszego boju.

(Z pism politycznych XVI wieku).



Pożar Kopalni nafty w Kalifornji



Zawody sportowe w St. Moritz w Szwajcarji

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień rozpoczął się pewnym zamiętaniem, wywołanym rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej o zniesieniu szeregu świąt. I oto w dn. 2 lutego wszystkie urzędy, wszystkie biura, zatrudniające żywo! inteligentny, podporządkowały się temu słusznemu zresztą rozporządzeniu i pracowały gorliwie, natomiast oparły się mu sfery robotnicze i rzemieślnicze. Skorzystali z tego agitatorzy komunistyczni i wyzyskując nastrój ciemnych mas, podburzać je poczęli do gwałtów, nawołując do zamykania sklepów i przeszkadzania w pracy. Podburzań tych usłuchały gromady wyrostków i mętów, lecz na szczęście policja w samem zaraniu ekscesy te zlikwidowała.

Prasa żargonowa skorzystała z okazji, by na cały świat podnieść larum, nadając tym wybrykom charakter antysemicki, choć zmuszano do zamykania również i sklepy chrześcijańskie. Tak nasi mniejszościowcy korzystają z każdej sposobności, byle tylko szkodzić Polsce.

Będąca powodem wielu protestów, a jednak z punktu widzenia państwowego nader potrzebna, ustawa o kwaterunku wojskowym, została ostatecznie zatwierdzoną przez senat z wprowadzeniem kilku poprawek.

Karzeł gdański w zatargu swym z Rzeczpospolitą Polską zyskał wytrwałego sojusznika w osobie komisarza Ligi Narodów, Mac Donell'a, który, wbrew traktatowi wersalskiemu, ogłosił wyjaśnienie, że poczta polska w Gdańsku służy tylko do korespondencji urzędowej, i że Polsce nie przysługuje prawo rozwieszania skrzynek pocztowych. Wobec zaskarżenia tej decyzji do Ligi Narodów, niema ona żadnej mocy.

Hakatyści gdańscy w dalszym ciągu objawiają swe sympatje dla Prus, a ostatnio wykreślili szereg firm polskich z rejestru handlowego. Zdaje się jednak, że zarządzenie bojkotu przez firmy handlowe polskie, uśmierzy trochę ich zapalę, gdyż jak dotychczas obroty firm gdańskich spadły znacznie i spadną do minimum.

Na forum międzynarodowym wielkie zaciekawienie budzi zatarg Grecji z Turcją z powodu wydalenia z Konstantynopola patriarchy kościoła wschodniego, Konstantyna. Oprócz protestów do wszystkich mocarstw świata, Grecja, pomimo wielokrotnych porażek, grozi zbrojnym wystąpieniem przeciwko Turcji.

Drugą sensacją, obchodzącą nas bardzo blisko, jest rozkaz nowego wodza czerwonej armii sowieckiej, Frunzego, w którym podkreśla on cele i zadania rosyjskiej partji komunistycznej, wskazując równocześnie, że partja ta, łącznie z partjami komunistycznymi innych państw, prowadzi walkę o zwycięstwo rzesz pracujących. Cele czerwonej armji i floty pokrywają się całkowicie z celami partji komunistycznej.

W zakończeniu rozkazu przedstawia Frunze międzynarodową sytuację polityczną z punktu widzenia wojskowego, wskazując, że czynione są obecnie usiłowania utworzenia dokoła Rosji sowieckiej

bloku wrogich jej grup państw wielkich i małych, dążących jakoby do zdławienia ruchu proletariatu. Odpowiednio tedy do siły przeciwników, armja czerwona musi uzbroić się i przygotować do walki.. Ano, zobaczymy... Wszak rok 1920 nie należy do zbyt odległej przeszłości... K.



Marcus Garvey, prezydent Transafrykańskiej Republiki murzyńskiej, głosiciel hasła „Afryka dla Afrykańczyków”.



Studenci sowieccy oczekują na wykład

NASZE BOLĄCZKI

Uważnego czytelnika pism codziennych uderzyć musi w rubryce wypadków nadmierny wzrost dwóch kategorii — samobójstw i podrzuceń...

Ofiarami pierwszych padają przeważnie istoty młode, wchodzące dopiero w życie, a przyczyny — ot, błache częstokroć, nieumotywowane przeważnie niczem... Sprzykrzyło się życie... Nie mam po co żyć... — tak brzmią przeważnie listy pośmiertne tych dzieci nieomal, które nie zaznały jeszcze życia, nie skosztowały jego goryczy i rozkoszy... Za ledwie nadpiły z czary życia, i już zawód, zniechęcenie, pragnienie ukojenia w nicości...

Zamachy samobójcze młodzieży przybierają poprostu charakter epidemji, i społeczeństwu nie wolno przejść nad tem obojętnie... Należy zbadać grunt wnie ich przyczynę i znaleźć środki zaradcze...

Z listów samobójców odnieść można wrażenie, że młodzież tę pcha do samobójstwa brak celu w życiu, brak dogmatu, brak wiary w siebie, a przede wszystkim brak oparcia w rodzinie, któraby osłabiła wolę pokrzepiła, wskazała cel, pokierowała, a przede wszystkim gorącą miłością otoczyła w przełomowych chwilach zmagają z przeciwnościami...

Epidemja samobójstw jest smutnym wynikiem wstrząśnień wojennych i nieuregulowaniem ostatecznym życia narodu... Również owocem powojennym jest wzrastająca liczba podrzuceń... Rozluźnienie obyczajów, osłabienie pojęć moralnych pcha młode kobiety na drogę występku.

Surowe kary sądowe na przestępczynię nie wiele tu pomogą.. Więzienie nigdy jeszcze nie uleczyło przestępców... Do leczenia tej rany zabierać się należy z całą umiejętnością, z gorąką miłością, otaczając opieką biedne uwiedzione istoty, nie wyrzucając je poza nawias społeczeństwa, nie odpychając od siebie.

Wdzięczne pole do pracy znajdują tu zwłaszcza wszelkie organizacje społeczne kobiece. Przy ich współdziałaniu bezwątpienia zmniejszy się ilość nieszczęsnych podrzutków, zmniejszy się ilość trupów dziecięcych, zamordowanych przez występne matki.

Z TEATRÓW ŚWIETLNYCH

KREACJE HAROLDA LLOYDA

Na ekranach kinoteatrów warszawskich gości Harold Lloyd. Reprezentuje on nowy rodzaj komizmu filmowego. Max Linder — to pechowiec, Chaplin — ekwilibrysta, przewycięzający przeszkody, Harold Lloyd zaś rozśmiesza nas swą niezdarnością, nieporadnością, „azgajstwem. Niedołęga życiowy, to ulubiony typ Harolda Lloyd'a. Psychologja tego typu jest świetnie wystudjowana i znakomicie odtwarzana. Harold Lloyd nietylko nas bawi — np. w „Nowoczesnym Don Kiszocie“, wyświetlanym w „Nowym“ na sali rozlega się dosłownie ryk śmiechu, — co więcej, on nas wielu rzeczy uczy. W fil-

mie „Jeszcze wyżej“, „Don Kiszocie“, bądź w „Doktorze Jack'u“, zademonstrowane mamy przeżycia człowieka nieporadnego i sposób jego reagowania na wypadki. Harold Lloyd w kreacjach swoich demonstrowuje walkę człowieka, który musi radzić sobie z przeciwnikami przerastającymi jego siły. Stąd qui pro quo. Rozśmierza nas ono serdecznie. Ale jest i druga strona, która pobudza do zamyślenia. Wyświetlane ostatnio filmy z Haroldem Lloydem mają jeszcze ten dodatni objaw, że jego „kawały“ na ekranie wychodzą niezmiernie plastycznie. A propos jego kawałków, warto zaznaczyć, że Harold Lloyd, jak i inni komicy filmowi, ma specjalnych t. zw. „gagmanów“, drogo opłacanych, których obowiązkiem jest obmyślanie specjalnych „kawałków“ najbardziej odpowiednich dla danego aktora filmowego. W „Nowoczesnym Don Kiszocie“ są pyszne sceny, płynące z ruchu niezdarnego. Dużym humorem odznaczają się scenki zetknięcia się Harolda Lloyd'a ze zwierzętami, np. koty oblegające nogi Harolda, obute w trzewiki, wysmarowane smalcem. Pointą kinematograficzną jest ruch głowy i szyi gęsi, zaciekawionej a wyglądającej z za drzwi.

Wyświetlane filmy z Haroldem Lloydem są dobrze wyreżyserowane; zdjęcia czyste.

Chamfort powiedział, że stracony jest dzień, w którym się człowiek nie śmiał. Kto nie chce tracić dnia, niech ogląda Harolda Lloyd'a.

A—s.

W numerze następnym „Biesiada Literacka“ rozpoczyna druk zajmującej powieści znanego pisarza, Stefana Barszczewskiego, p. t. „Jak być mogło“.



Dyktator Primo de Rivera żegna mogiły poległych żołnierzy hiszpańskich w Maroku.

HENRYK BORDEAUX

P O W R Ó T Z B A L U

— Doskonale! Doskonale! — wykrzyknął pan Damblave, jakgdyby uszczęśliwiony tym cotygodniowym zwyczajem służby. I zwracając się do żony zapewnił ją z powagą:

— Twój syn jest znaleziony.

— Gdzież on jest?..

— Jeszcze nie wiem, ale jestem na tropie.

Pani Damblave siedziała już w aucie, podczas gdy mąż jej dawał szoferowi instrukcje:

— Józefie, pojedziesz na ulicę Wagram i będziesz się tam zatrzymywał przed wszystkimi dancinami.

— Ależ, proszę pana, jestich tam bardzo dużo.

— Nic nie szkodzi. Myślałam, że należałoby udać się najpierw do komisariatu — dziwiła się pani Damblave, która słyszała tę rozmowę.

— Komisariaty policyjne nigdy nic nie odnajdują, — oświadczył Roger tak stanowczo, że małżonka zaczęła go uważać za nowy rodzaj Sherlocka Holmesa.

Przy ulicy Wagram zwiedzono bez rezultatu dwa czy trzy lokale nocne. Było tam wiele służących — ale dzieci nie było.

— A widzisz! — rzekła Mary, straciwszy już do niego zaufanie: jakżeż możesz przypuszczać, aby mamka mogła zanieść dziecko do podobnego miejsca. Zostawiła je same i skradziono je nam. Gastonie! mój mały Gastonie!

Rozpłakała się i zaczęła robić mężowi wymówki z powodu ich zbyt częstego wychodzenia z domu zupełnie, jakgdyby towarzyszyła mu w tych wycieczkach jedynie z tytułu posłusznej małżonki.

Tymczasem auto, przejechawszy kilkadziesiąt metrów, zatrzymało się znowu. Liczne, różnokolorowe lampki elektryczne świadczyły o jakimś dancingu. I gdy państwo Damblave'owie po kupieniu biletów weszli do sali balowej, wydało im się, że słyszą płacz dziecięcy, jakby dochodzący z przyległego pokoju.

— Gaston! krzyknęła Mary, i pociągając za sobą męża otworzyła drzwi. Stanęli w progu zdumieni i osłupiali widokiem, jaki przedstawił się ich oczom: na materacach i kołdrach leżało około dwadzieścioro dzieci. Jedne z nich spały, inne zaś bały się lub płakały uparcie. Czuwała nad nimi jakaś kobieta w jasnej, mocno wydekoltowanej bluzce. Na widok Damblave'ów, zbliżyła się do nich pospiesznie, pytając:

— Jaki państwo mają numer?

Tymczasem pani Damblave, rozejrzawszy się

między bobusiami, odnalazła już swego Gastona i wśród radosnych łkań, pieszcząc go i całując, przyciskała do serca.

Ale dozorczyńni przerwała tę scenę radosną.

— Jakiż więc numer? — powtórzyła oschłym tonem.

— Co za numer? — spytał ze zdziwieniem Roger.

— No, numer, za którym dziecko tu pozostawiono. Tak, bez numeru chłopczyka zabrać nie można. Ten, jak państwo widzą, ma numer 15. Więc czy państwo posiadają ten numer?

Pan Damblave, przybierając jaknajbardziej wielkopańską minę, usiłował ją odsunąć.

— Proszę mnie zostawić w spokoju i nie nudzić tym numerem, jest to nasze dziecko, któregośmy właśnie szukali.

— Jeśli więc to jest państwa dziecko — to proszę oddać numer.

I gdy Roger i jego żona zdradzali zamiar zabrania Gastona siłą — dozorczyńni, otworzywszy drzwi, prowadzące do sali balowej, krzyknęła głosem tragicznym:

— Wykradają numer 15!

Na ten okrzyk trzy damy zgodnym ruchem opuściły swych tancerzy — akurat w samym środku bardzo pięknego, granego w żywym tempie tanga i rzuciły się w stronę pokoiku. Były to: mamka, pokojówka i kucharka. Biegnąc na pomoc wykradanemu numerowi 15-emu znalazły się najniespodziewaniej przed obliczem państwa Damblave'ów.

Pani Damblave, tuląc syna do dekoltu w tym miejscu, gdzie zwykle bywa serce, przyjęła je nader mile.

— To wy tak go pilnujecie! wyrzucam was wszystkie trzy.

Stały — okropnie zmieszane.

Wreszcie — kucharka, najbardziej elokwentna, pierwsza odzyskała zdolność mowy:

— Przecież pani miała możliwość sprawdzenia, że był doskonale strzeżony.

— Rzeczywiście!

— Najlepszy dowód, że gdy państwo chcieli go zabrać, to niedopuszczono do tego. Pani, być może nie wie, ale to jest bardzo porządny dancin.

— No, mówią coś o tem, — wtrącił Roger.

— Nieinaczej! Jest tu rodzaj szatni dla przechowywania dzieci za numerkami. Zupełnie, jak na prawdziwych eleganckich balach.

— Aha! numer 15 — dorzucił Roger.

— Tak, proszę pana; numer 15. Każda z nas po kolei czuwa nad maleństwami, — bawi je, lub usypia. Niema się czego obawiać. Strzeżone są jak w domu.

— A jak często tak się zwalnialiście? — zapytał Roger.

— Każdej soboty.

— Każdej soboty mój syn tu przebywał, — oburzyła się pani Damblave.

— Powiedz raczej, że był tu przechowywany, jak parasol lub laska, — dorzucił mąż.

— Ależ, z daleko większą pieczołowitością, — zapewniała mamka. Wreszcie pokojówka, najbardziej rezydentna, zakończyła całą awanturę wnioskiem:

— Przecież państwo też wychodzą co wieczór. I co wieczór zostawiają panicza Gastona. A my

wychodzimy tylko raz na tydzień i jeszcze zabieramy panicza z sobą.

Wracano do domu razem. I gdy mieli już wszyscy rozejść się do swoich pokoi — pani Damblave, zważywszy na zmiany, jakie obecnie zaszły w stosunku służby do państwa, postanowiła kwestję całą zakończyć ugodowo:

— W soboty będziemy czuwać nad Gastonem my — to jest mój mąż i ja. Ale co do innych dni — to musicie mi przyrzec, że już wychodzić nie będziecie.

Projekt został przyjęty i wszystko wróciło do dawnego porządku. Tylko już państwo Damblave nigdy nie przyjmują zaproszeń na wieczory sobotnie — jest to bowiem dzień dyżurowania przy Gastonie.

R O Z M A I T O Ś C I

Dowiedział się. Mikołaj Malinowski opowiada w swych „wspomnieniach“, że kiedy książę Konstanty Pawłowicz zrobił przegląd nabranych rekrutów z Królestwa, postrzegł, że jeden wysmukły i śliczny mazur śmieje się do rozpuku.

— Czego się śmiejesz? — pyta go książę.

— Kiedy se boje...

— Ale nie bój się, mów...

— Ale bo jasny książę wygląda jak małpa.

Zagadka amerykańska. Gdy przed paru laty była w toku sprawa pożyczki amerykańskiej dla Polski, pewnego razu nadszedł do Warszawy obszerny telegram amerykańskiej korporacji finansowej, który to telegram poseł amerykański p. Gibson doręczył natychmiast ministerjum spraw zagranicznych.

Pożyczka nie doszła do skutku, bo ministerjum spraw zagranicznych zataiło telegram korporacji przed ministerjum skarbu przez cały szereg tygodni.

Z tego powodu w kołach warszawsko-amerykańskich zaczęła krążyć następująca zagadka:

— Jaki byłby skutek z tego, gdyby Stany Zjednoczone formalną notą piśmienną wypowiedziały Polsce wojnę?

— Żaden, bo p. Okęcki schowałby notę do szuflady i zataiłby cały fakt przed rządem i społeczeństwem.

Wywóz małp przyczyną obawy buntu. — W Indiach angielskich miliony mieszkańców wystąpiły z energicznym protestem przeciwko masowemu wywozowi do Europy małp z gatunku szympanów, czczonych tam jako świętość. Przyczyną nagłego wzrostu wywozu tych małp stał się wynalazek dr. Woronoffa, odmładzania ludzi za pomocą przeszczepiania gruczołów szympansa. Z powodu obrażenia tym wywozem uczuć religijnych, wśród ludności powstało wrzenie, grożące wybuchem jawnego buntu.

Bartosz Głowacki. Po bitwie racławickiej, gdy już w dalszy ruszono pochód, Głowacki, już

jako oficer, dobrał się wielce chudej białej szkapy. Stanąwszy dla odpoczynku, przybliżył się na owej szkapie Głowacki do grona oficerów, z których każdy uprzejmie go powitał. Jan Bogucki, 22 lat liczący podporucznik, podszedł do niego i rzekł:

— Panie kolego, dzielnego macie konia!

A on, wyciągnąwszy z za pasa batog i potrząsając nim, odpowiedział:

— Panie młodziku, wejże ze mnie nie kpicie, bo jak was tem liżnę, to wam się żartów odechce.

Oficerowie na głos się roześmieli, a Bogucki ze wstydem zapłoniony odszedł.

Przypominek z r. 1830-31. W chwili, kiedy powstanie kaliskie, spiesząc na miejsce boju, do Warszawy przyciągało, wyszła naprzeciw niemu ludność Warszawy, starcy i dzieci, witając to rycerstwo okrzykami:

— Niech żyją kaliszanie!..

Wtedy młodzieniec jeden z jazdy kaliskiej, wystąpiwszy przed szeregi, zawołał:

— Warszawianie! źle się wyrażacie; wołajcie tak, jak należy: śmierć kaliszanom, a Ojczyzna niech żyje!..

Co korzystniejsze? Przyjaciół znanego uczonego krakowskiego, Jacka Przybylskiego, kupiec Frölich, zapytał się go: ile też lat przetrwał w obowiązkach nauczycielskich, wiedząc już o tem, że Przybylski pobiera pensji emerytalnej zł. pol. cztery tysiące; a wzięwszy kawałek papieru i pióro, usiadł na chwilę dla zrobienia rachunku, czas nauczycielskiego obowiązku wzięwszy za kapitał, a dochód pensji za prowizję. I wypadek obrachunku swego objawił temi słowy:

— Tfy!.. to nie warto być profesorem,.. gdybyś jegomość przez tyle lat drzewka rąbał i niemi handlował, to byłbyś niezawodnie więcej wypracował dla siebie do życia na starość, niż ta kwota, którą jegomość pobiera...

.....

DUSZA DZWONU

W stołecznym mieście Chin, starożytnym Pekinie, jest olbrzymi dzwon. Gdy godzina dobiega na zegarze wodnym Taczuup-sze, czyli Wieży Wielkiego Dzwonu, serce spiżowego potwora podnosi się zwolna i uderza o jego szeroki brzeg, zdobny buddyjskimi napisami ze świętych ksiąg. Jak donośny dźwięk wydaje dzwon! jak potężnie brzmi jego głos: Ko-NGai! Na zielonym dachu pagody szeroka fala rozkołysanego powietrza dreszczem wstrząsa złocone smoki wysokich okapów; porcelanowe deszczotryski drżą na swych rzeźbionych podstawach, setki drobnych dzwoneczków pagody gotują się przemówić! Ko-NGai! Zielone i złote dachówki pagody drgnęły, złocona ryba u szczytu wije się na modrem tle nieba: bóg To podnosi wysoko palce nad głowami wiernych i potrząsa niemi wśród dymów kadzidel. Ko-NGai! Co za grzmiący dźwięk! Drobne, malowane postacie na gzyskach pałacu wysuwają swe ogniste języki. Każde potężne uderzenie dzwonu, odbite przez tysiączne echa, przechodzi stopniowo w głębokie westchnienie, wybucha łkaniem i kończy się cichym, srebrzystym, przerywanym szeptem żalącej się kobiety: „Hiai!“.

Tak od pięciuset lat rozbrzmiewa codziennie przepiękny głos olbrzymiego dzwonu... „Ko-NGai!“ — dźwięk grzmiący, donośny, po nim przeciągłe, złoście westchnienie, w końcu cichy, srebrzysty szept: „Hiai!“ A na różnobarwnych ulicach starego chińskiego grodu niema dziecka, któreby nie znało historii wielkiego dzwonu i nie wiedziało, dlaczego dzwon woła: Ko-NGai i Hiai!..

Oto historia tego dzwonu, opowiedziana przez sławnego uczonego: Yu-Pao-Czen.

Przed pięciuset laty bōski Syn Nieba, Yong-Lo, z przesławnej dynastji Ming, rzekł do swego dostojnego ministra Kuan-Yu: — Chcę mieć dzwon olbrzymi, którego głos rozlegałby się na przestrzeni stu li.

I rozkazał mu wzmocnić głos dzwonu spiżem, pogłębić go złotem, złagodzić srebrem, na brzegach i bokach jego wyrycić błogosławione napisy ze świętych ksiąg i powiesić go w samym środku miasta, aby rozbrzmiewał w najodleglejszych dzielnicach Pekinu.

Zacny mandaryn Kuan-Yu wezwał niezwłocznie najrzęczniejszych i najsławniejszych majstrów z całego kraju, mistrzów w sztuce odlewania dzwonów. Ci zabrali się wnet do roboty, oczyścili kruszce, zważyli je, zbudowali piece i naczynia do przetapiania kruszcu, przygotowali narzędzia i formy do odlewania, pracowali dzień i noc, jak wielkoludy, zapominając o śnie, wypoczynku i wszelkich wygodach życia, aby zadowolić Kuan-Yu i spełnić rozkaz Syna Niebios.

Jednak, gdy odlano dzwon i zdjęto gliniane formy z rozżarzonego odlewu, okazało się, że cała praca i wszystkie starania poszły na marne, bo kruszce nie pogodziły się ze sobą, złoto wzgardziło spiżem, a srebro nie chciało połączyć się z żelazem. Trzeba więc było urządzić po raz drugi for-

my, rozpalic ogniska, stopić kruszce i powtórzyć znowu całą tak ciężką i tak mozolną robotę. A gdy Syn Niebios dowiedział się o tem, rozgniewał się bardzo, ale nie rzekł nic.

Odlano dzwon poraz drugi, lecz wynik, niestety! był jeszcze gorszy. Oporne kruszce znowu nie chciały się połączyć; stop był niejednostajny, boki dzwonu popękały i świeciły szparami, a brzegi były nierówne, połamane i ku wielkiej zgryzocie Kuan-Yu trzeba było całą pracę przerobić poraz trzeci. Gdy zaś Syn Niebios dowiedział się o tem, zapalał jeszcze większym gniewem i posłał do Kuan-Yu list, napisany na jedwabnej tkaninie cytrynowej barwy i przypieczętowany smokiem:

„Wszchemocny Yong-Lo, Najwyższy Taitung Niebiański i Święty z dynastji Ming do Fuk-yina Kuang-Yu: Dwa razy zawiodłeś zaufanie, które raczyliśmy łaskawie pokładać w tobie, jeżeli poraz trzeci nie spełnisz naszej woli, głowa twoja spadnie z karku. Drzyj i bądź posłusznym“..

Kuan-Yu miał córkę, imieniem Ko-NGai, tak piękną, że wszyscy poeci opiewali jej urodę, a dusza jej była jeszcze piękniejszą, niż ciało. Ko-NGai, kochając ojca niewypowiedzianie, nie chciała opuścić jego domu z obawy zasmucenia go i odmawiała swej ręce najznakomitszym i najznaczniejszym zalotnikom. Zobaczywszy obecnie straszny, żółty list z pieczęcią smoka, zemdląła z trwogi i przerażenia. Wkrótce odzyskała przytomność i siły, ale myśl o niebezpieczeństwie, grożącym ojcu, odjęła jej spokój i sen, aż w końcu, sprzedawszy potajemnie trochę klejnotów, udała się do astrologa i opłaciwszy go hojnie, prosiła o radę, jak uratować życie ukochanego ojca. Astrolog zbadał nie o, w szczególności zaś Potok Srebrzysty, zwany u nas Drogą Mleczną, znaki zodiacalne i Żółtą drogę, zajrzał do tablicy Pięciu Zasad Wszechświata i do tajemnych ksiąg alchemików i po długim namyśle rzekł:

— Aby złoto skojarzyło się ze spiżem, a srebro połączyło się z żelazem, potrzeba koniecznie dodać do roztopionych metalów ciało młodej dziewczyny. Tylko krew niewinna zdoła pogodzić odporne kruszce.

Ko-NGai wróciła do domu z ciężkim smutkiem w sercu, ale zachowała w głębokiej tajemnicy swe odwiedzinny u astrologa i jego radę...

Nakoniec nadszedł straszny dzień trzeciej i ostatniej próby odlania olbrzymiego dzwonu; Ko-NGai wraz ze swą służebną towarzyszyła ojcu do odlewni i zajęła wraz z nim miejsce na podwyższeniu, z którego widać było pracę majstrów i lawę roztopionego metalu. Robotnicy pracowali, pogrążeni w milczeniu, a wśród głębokiej ciszy słyhać było tylko szum płomieni, który coraz bardziej się wzmagał i stawał się podobnym do huku zbliżającego się orkanu. Krwiste jezioro kruszcu, błędąc powoli, zaczęło jarzyć się, jak słońce o wschodzie, różowa barwa jutrenki rozpromieniła się blaskiem złocistym, potem zbieła, oslepiając jasnością, aż w końcu zaświeciła srebrzyście, jak księżyc w peł-

ni. Wówczas robotnicy przestali podsycać rozszalały żywioł, i wszyscy zwrócili oczy na Kuan-Yu, czekając znaku, aby wylać roztopiony metal.

Ale zanim Kuan-Yu zdążył podnieść rękę, głos Ko-Ngai zabrzmiał słodko, jak śpiew ptaka wśród grzmiącego huku ognia:

— Dla ciebie, mój ojczu, to czynię!..

I z temi słowy rzuciła się w oslepiający potok kruszcu, który pochłoniął ją z rykiem, trysnął potwornymi snopami iskier do stropu, wylał się z brzegów, buchnął różnobarwnymi ogniami i opadł drżący, grzmiąc i błyskając...

Ojciec Ko-Ngai, oszalały z bólu, chciał rzucić się za córką, lecz robotnicy nie puścili go i trzymali przemocą, aż zemdlął, a wtedy odnieśli go prawie bez życia do domu. Służebna zaś Ko-Ngai stała przy ognisku, osłupiała i niema z przerażenia, trzymając w ręku pantofelek, małutki, zgrabny pantofelek, ozdobiony perłami i kwiatami, pantofelek, którego pani już nie było. Albowiem, gdy Ko-Ngai rzuciła się w ogień, służąca chciała pochwycić ją za nogę, lecz w ręku pozostał jej tylko pantofelek, od którego nie mogła oderwać oczu, postradawszy niemal zmysły.

Jednak, nie bacząc na nic, trzeba było spełnić wolę Syna Nieba i odlać dzwon, jakkolwiek bez nadziei powodzenia. Blask kruszcu zdawał się być czystszy i jaśniejszy, niż kiedykolwiek, i nie zawierał śladu ciała, które znalazło w nim grób. Przyśpiano więc do mozolnego odlewania i, oto, gdy kruszec ostygł, dzwon okazał się niezwykle pięknym, doskonałego kształtu i cudnego koloru, i przewyższał pod każdym względem wszystkie inne dzwony. Z pięknego ciała Ko-Ngai nie odnaleziono ani krzty, zostało ono całkowicie pochłonięte przez roztopione metale i zmieszało się ze spizmem, złotem, srebrem i żelazem, które teraz połączyły się jaknajściślej ze sobą. A gdy uderzono w dzwon, dźwięk jego był słodszy i potężniejszy, niż dźwięk jakiegobądź innego dzwonu, rozlegał się w dal więcej, niż na sto li, i chociaż grzmiał, jak grzmot wiosenny, w brzmieniu jego słyhać było imię kobiety: Ko-Ngai!..

Każdemu zaś potężnemu uderzeniu dzwonu towarzyszy cichy, przeciągły jęk, zakończony łkaniem żalosnym, jak gdyby kobieta, płacząc, szepotała: „Hiai“.

I ludzie milczą, gdy słyszą wielkie głośnie bicie, lecz gdy żalosne drżenie wstrząsa powietrzem i kończy się łkaniem „Hiai“!.. wówczas wszystkie matki na różnobarwnych ulicach Pekinu mówią swym dziatkom:

— Działki, czy słyszycie? To Ko-Ngai opłakuje swój trzewiczek. Ko-Ngai prosi o swój trzewiczek!
baśń chińska.

KŁOPOTY GOSPODYŃ

Życie gospodyń, zwłaszcza ze sfer inteligentnych, a więc z natury rzeczy niezamożnych, w czasach obecnych nie należy do zbyt przyjemnych. Obraca się ono w kolisku wiecznych trosk i kłopotów, zabiegów o oszczędność, a zwłaszcza pracy, ustawicznej ciężkiej pracy.

Ograniczona szczupłym budżetem, niejednokrotnie zmuszona pracą własną dopomagać mężowi do utrzymania rodziny, ma przytem wiele jeszcze kłopotów z prowadzeniem gospodarstwa domowego.

Wygórowane żądania służby, a przede wszystkim brak odpowiednio wykwalifikowanych i uczciwych służących, czyni warunki te jeszcze trudniejszymi. Pani domu musi nieraz sama chodzić za zakupami, gotować, zmywać, sprzątać, co dla nieprzyzwyczajonych do tego rodzaju pracy jest nad wyraz uciążliwym, podkopuje zdrowie, wyczerpuje siły i staje się przyczyną wielu ciężkich chorób i kalectw.

A mimo to żadna z istniejących organizacji kobiecych, zajętych bardzo wielu ważnymi sprawami, a ignorujących sprawy zwykle, praktyczne, nie pomyśli o zorganizowaniu się celem ułatwienia sobie warunków gospodarstwa domowego.

Na zachodzie, gdzie służbę mogą trzymać tylko ludzie zamożni, pomyślano o tem oddawna. Produkty żywnościowe dostarczają do domów dostawcy na zamówienie telefoniczne lub z dnia na dzień, wszędzie są kuchnie gazowe lub elektryczne, odkurzacze, przyrządy do zmywania i t. p., a nawet sprzęty domowe przystosowane są do praktycznego użytku. U nas na tem polu nic jeszcze nie działo. A czas wielki pomyśleć o tem. Czyżby nie należało stworzyć wielkiej organizacji kobiecej, któraby zajęła się przede wszystkim sprawą pomocy gospodyniom?

Czyby nie było wskazane stworzenie wielkiej, na zasadach handlowych opartej kooperatywy, któraby zajęła się dostarczaniem do domów zarówno produktów, jak i wszystkich najnowszych urządzeń gospodarstwa domowego na warunkach możliwie dogodnych?..

Kupiectwo nasze zbyt jest konserwatywne, zbyt leniwe, ażeby zająć się zorganizowaniem takich dostaw.

Tu się otwiera piękne a szerokie pole pracy dla naszych kooperatyw, zwłaszcza urzędniczych i robotniczych, które obecnie ledwie vegetują, a które z natury rzeczy będą musiały wejść na nowe tory lub zniknąć.

Czyby która z nich nie zechciała spróbować i wprowadzić tą nowość?..

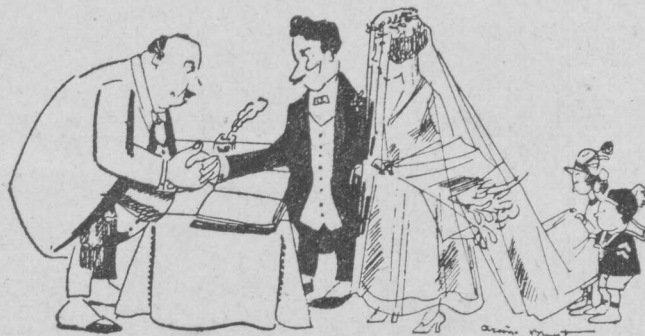
M. K.



Pierwsza Kobieta-szoferka w Japonji



Płaszcz wiosenny.



— A zatem, panie merze, do najprędzszego zobaczenia się.

Le Rire.

W POWODZI ODCZYTÓW.

— Jakże ci się podobał ten odczyt?...
— Owszem... owszem... bardzo piękny, tylko nieco za krótki... Ledwie się zdrzemnął, już musiałem wstawać...

U LEKARZA.

— Panu pomoże tylko kuracja wodna.
— Kuracja wodna, doktorze, to okropność!..
— Ale tylko na zewnątrz..
— A to dzięki Bogu, bo takem się przeląkł!..

Z CHWILI.

Słusznie wszyscy mówią, że w Warszawie jest nadzwyczajny ruch. Jeden *zmyka* przed wierzycielami, ten chce *złapać* trochę grosza na wydatki *bieżące*, ów *ucieka* się do ostateczności, tamten *wyjeżdża* z ciągłymi pretensjami, a wszyscy *gonią* ostatkami.

Kierownik literacki: Edmund Jezierski.

Redaktor i wydawca: Tadeusz Jaszczewski.

Kierownik literacki przyjmuje codziennie od godz. 5—6 po poł. w lokalu redakcji, Nowy-Świat 50.



Najlepsze źródła zakupów polecane przez „Biesiadę Literacką“



B. Kulesza

Warszawa, N-Świat 59. ☎ Tel. 409-43.

Maszyny do szycia najprzedniejszych gatunków ręczne od Zł. 100.—, nożne Zł. 135.—, bębnekowe Zł. 165.—, gabinetowe Zł. 205.— z długoletnią gwarancją, wysyła po otrzymaniu 1/4 części należności. HURT i DETAL.

W. Bednarowski

Hotel Bristol.

Poleca wykwintną bieliznę oraz galanterję męską.

Krajowa Fabryka Świec

E. Marendowski

Sp. z ogr. odp.

Warszawa, Leszno 4,

☎ tel. 27-14. ☎

Pasy gumowe i batystowe

poleca zyczącym na raty
MAGAZYN GORSETÓW

„ALICJA“

☛ Krucza 18. ☛

MEBLE

Marszałkowska № 145.

w podwórzu

Wł. Kucicki

Duży wybór. ☉ Ceny niskie.

MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

W. Perendyka

Warszawa, Senatorska № 8, tel. 67-17.

Na każdy sezon nowości.
Krój i wykonanie pierwszorzędne.
Ceny umiarkowane.

„NOWA ZIEMIA LUBELSKA”

to najpoczytniejsze pismo demokratyczne Województwa Lubelskiego i Kresów Wschodnich. Założone w roku 1904 jako „Ziemia Lubelska“ w roku 1923 zamieniono tytuł na „Nowa Ziemia Lubelska“. Codzienne pismo nasze posiada oddziały we wszystkich większych miastach Europy. Zaangażowało do swej współpracy wybitne siły publicystyczne.

Abonament roczny z przesyłką pocztową wynosi 38 zł., półrocznie 19 zł., miesięcznie 3.30 zł.

„Express Kujawski”

wychodzi codziennie w Włocławku
ulica **Przedmiejska** № 20, telef. № 100.

Najpoczytniejszy organ na Kujawach i Ziemiach Sąsiednich

O g ł o s z e n i a

w „Expressie Kujawskim“ dzięki rozpowszechnieniu pisma we wszystkich sferach, dają wielkie korzyści, ogłaszającym się na jego szpaltach.